No. 10. 30 h. = 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 7. sierpnia 1909.

Z treści: **Podróż na północ.**

Wychodzi w każdą sobotę.



Jednym błyskawicznym skokiem rzucił się francuz na niedźwiedzia.

Przedruk wzbroniony.

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.

Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.

Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 10. Kraków, dnia 7 sierpnia 1909. Nr. 10.

ZE ŚWIATA.

Dramat pod ziemią.

W kopalniach Arcada w Hiszpanii rozegrał się niedawno straszny dramat. W czasie roboty powstał spór między 60 górnikami. Utworzyły się dwie wrogie sobie grupy i z kłótni przyszło do zażartej bitki. Nagle wypadł jednemu z górników nabój dynamitowy z kieszeni i wybuchnął. Wskutek eksplozyi zawaliły się podpory i sklepienia drewniane, grzebiąc pod swymi gruzami robotników. Dotychczas wydobyto 10 zwłok. Jest mała nadzieja zastania reszty przy życiu.

Walka z aligatorami.

Obłaskawienie i tresura dzikich zwierząt — jest zawsze pożądaną senzacyą dla szerokich, nieinteligentnych mas publiczności. Niedawno temu występywała w jednym z paryzkich cyrków urodziwa poskromicielka dzikich bestyj „Księżna Siwa", jak ją szumnie afisz nazywał. Wyprowadzała ona na arenę — odgraniczoną zresztą od publiczności silnemi kratami — całą sforę dorosłych, żywych aligatorów. Przed paru dniami rozegrała się w czasie tej produkcyi wstrząsająca scena. Pewien amerykański aligator skoczył nagle na poskromicielkę i obdarł jej formalnie z mięsa ramię aż do kości. Dziewczyna miała jeszcze na tyle przytomności, że dobyła lewą ręką z kieszeni rewolwer i zastrzeliła zwierzę. Publiczność pospieszyła nieszczęśliwej artystce na pomoc i umieściła ją w szpitalu.

Koniokrad.

— „Trzymajcie go! trzymajcie!" — słychać było przeciągły okrzyk na ulicach. — „Kogo? gdzie? za co"? — pytali się ludzie i patrzyli zdziwieni po sobie. Wołający wkazywał ręką na kabriolet, który w tumanach kurzu umknął w oddali. Ludzie wzruszali ramionami i każdy szedł w swoją drogę, bo o ściganiu galopującego konia — piechotą nie było mowy. Ale okradziony miał widocznie szczęście, bo właśnie naprzeciw niego nadjeżdżał automobil, którego natychmiast użył do pościgu. Wkrótce zaczęła się zmiejszać odległość między nimi. Złodziej widząc, że prawy właściciel konia następuje mu już na pięty, obrócił się na skradzionym wózku i wypalił z rewolweru. Strzał był niezmiernie celny, bo właściciel skradzionego konia krzyknął przeraźliwie i spadł na poduszki automobilu. Przestraszony szofer zahamował w tej chwili i zajął się ratowaniem śmiertelnie ranionego — a tymczasem złodziej pomknął bezkarnie dalej.

Nie długo jednak cieszył się tryumfem swoim i zdobyczą. Złapany o parę mil został przyaresztowany i obecnie oczekuje zasłużonej kary.

Zarzuty przeciw angielskiej policyi w Indyach.

Angielskie władze bezpieczeństwa w Koloniach nie mogłyby żadną miarą być za wzór podawane. Wielu poważnych indyjskich obywateli zgłosiło się już z dowodami, że większość wszystkich zama-

chów dynamitowych była inscenizowana przez samą policyę, która zmuszała potem świadków do fałszywych zeznań. Pozatem wymusiły władze policyjne 1000 funtów sterl. od pewnego bogatego Indusa w zamian za cofnięcie oskarżenia o zamach. Jeden z wyższych urzędników policyjnych (co prawda Indyanin) — stoi pod zarzutem fabrykowania bomb. Na skutek tych obwinień wszczął generalny inspektor policyi — surowe dochodzenia w tym kierunku.

Aresztowanie dwóch niebezpiecznych włamywaczy.

W Berlinie przyłapano na kradzieży dwóch amatorów cudzego mienia, którzy jak się potem okazało należeli do świetnie zorganizowanej międzynarodowej bandy, która od szeregu lat trudniła się tym niedozwolonym „sposobem zarobkowania.“ Policya wybadała, że zacna ta trupa składa się z 20 członków, która obrawszy sobie za stałą siedzibę Berlin — dokonywała śmiałych włamywań i kradzieży, wyjeżdżając na „gościnne występy“ nawet w bardzo odległe strony, jak do Londynu, Paryża, a nawet i Ameryki. Banda była podzielona na trzy grupy, a członkowie jej zjeżdżali się w pewnych oznaczonych terminach, celem wzajemnego rozrachunku i układania planów dalszej działalności.

Złapani w Berlinie dwaj ptaszkowie wypierali się zrazu stanowczo winy, ale na ich nieszczęście znaleziono na schodach porzucone rozmaite złodziejskie przyrządy jak wytrychy, łomy itp. Natychmiast zarządzono rewizyę w ich mieszkaniach, gdzie był formalny arsenał zbrodniczych narzędzi, które oczywiście policya na miejscu skonfiskowała. Skonstantowano, że członkowie tej bandy dokonali między innemi zuchwałego napadu w biały dzień na ulicy na pewnego chłopca do posyłek, któremu zrabowano 3.000 marek. W napadzie, jak się pokazało — brało udział troje ludzi. Jednego z nich aresztowano w Lipsku. Nazywa się on Marcin Iwanow. Dochodzenia wykazały, że rzekomy Iwanow jest autentycznym z niebezpiecznym zbrodniarzem imieniem Motle Tschep, który przed 6 laty umknął z więzienia na Sachalinie i od tego czasu uganiał po całym świecie trudniąc się kradzieżą, włamywaniem i rozbojem. Za dwoma wspólnikami jego śledzi obecnie gorliwie policya. Kradzieże i rabunki dokonywane przez bandę — wynoszą parę set tysięcy marek.

Strzały rewolwerowe w kawiarni.

Do niebywałego ekscesu przyszło niedawno temu w kawiarni „De la Paix“ w Mentonie.

Przyszło mianowicie do sprzeczki pomiędzy czterema grajkami a właścicielem lokalu, w trakcie której gospodarz wystrzelił z rewolweru — na szczęście bez żadnej szkody dla nikogo.

Gdy muzycy skończyli swój koncert o godzinie 3-ciej w nocy i udali się do suteren, gdzie znajdowały się ich garderoby — pospieszył za nimi gospodarz i pod grozą wstrzymania im zapłaty za wieczór dzisiejszy — chciał zmusić artystów do nadobowiązkowego grania do godziny 4 rano.

Po krótkiej, ale gorączkowej wymianie słów, w której zwłaszcza odznaczył się muzyk grający na wiolinczeli — wystrzelił gospodarz dwa razy do nich z rewolweru. Muzykanci uciekli odważnie na górę, a wiolinczeliście udało się na czas wybiedz na ulicę. Kapelmistrz zastał natomiast bramę zamkniętą. Tymczasem przechodnie, którzy gromadnie dom otoczyli wybili wszystkie szyby w bramie i tą drogą zdołał kapelmistrz odziany tylko w koszulę i spodnie wydobyć się na ulicę.

Niezadługo ukazało się dwóch policyantów i zażądali od gospodarza kategorycznie wydania reszty garderoby prześladowanego muzyka i w ten sposób położyli na razie kres gorszącym scenom.

Lokatorzy domu pobudzeni ze snu piekielnymi hałasami — wzięli stronę pokrzywdzonych artystów. Tymczasem właściciel kawiarni motywuje zupełnie inaczej całe zajście.

Według jego twierdzenia byli muzykanci kontraktowo zobowiązani do grywania w niedzielę i święta aż do godziny 4-tej rano.

Chociaż nie mieli słuszności za sobą — rozpoczęli w suterenach z gospodarzem ordynarną kłótnię, tak, że pryncypał chcąc zachować swoją osobę od możliwej napaści — był zmuszonym dać dwa strzały dla postrachu. Wiolinczeliście oświadczył z całą delikatnością, by więcej progu jego lokalu nie przestępował, gdyż zachowywaniem się swojem odstręcza mu gości. Szyby nie rozbiła publiczność celem oswobodzenia kapelmistrza, lecz sami muzycy ze zemsty uszkodzili w złośliwy sposób jego własność. Podobnież on to sam, a nie publiczność — zarekwirował telefonicznie policyę o pomoc. Prawdopodobnie zajście to pociągnie za sobą cały szereg powiązanych ze sobą skarg, bo i publiczność poobrażała się nawzajem i służba kawiarniana.

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

PODRÓŻ NA PÓŁNOC.

ROZDZIAŁ I.

Projekt podróży i nowy wypadek.

Rzecz odbywa się w domu Szerloka Holmesa, który w chwili, gdy nasze opowiadanie się rozpoczyna bawił czasowo w Paryżu.

— Więc postanowione, panie markizie? Jeżeli nie zginę dzisiejszej nocy, ewentualnie nie zostanę wolności przez moich wrogów pozbawiony — to jestem jutro punktualnie o 10 wieczór w Calais!

Młody blondyn, do którego zwrócił swe słowa słynny angielski detektyw Szerlok Holmes był markiz Raul de Tanville.

Wielki detebtyw miał sposobność przed kilku laty ocalić życie młodemu francuskiemu arystokracie. Odkrył bowiem i unicestwił łotrowski spisek, mający na celu zgładzenie ze świata markiza, właśnie w tym czasie, gdy odbierał milionową sukcesyę. Od tej chwili miał Holmes w markizie Raulu najwierniejszego i najoddańszego przyjaciela, który dałby sobie za niego serdecznej krwi upuścić.

— Wspaniale! — zawołał z niekłamanem zadowoleniem francuz — Ale rachuję w zupełności na pana! A jeżelibyś pan słowa nie zdzierżył, to sam przybywam tu automobilem i przemocą uwiozę pana! Teraz jadę naprzód, by wszystko do podróży przygotować! A gdy tylko wstąpisz na mój pokład — wtedy pełną parą naprzód! Gdziekolwiek pan chcesz! Islandya, Norwegia, Biegun północny — wszystko mi jedno! — A za tem au revoir!...

Z uśmiechem zadowolenia pożegnał się i wyszedł. I wielki detektyw cieszył się bardzo na planowaną podróż.

Kazał służącemu podać sobie herbatę i zapalił swoją ulubioną, krótką fajeczką, poczem zabrał się do przeglądania codziennej poczty.

Wtem — zapukał ktoś.

— Entrez!

Wielki detektyw spojrzał zdumiony i podniósł się z fotelu. Przed nim stał szef paryskiej policyi bezpieczeństwa — pan Andrieux.

— Dzięki Bogu, że pana zastaję panie Holmes! Nie chciałem tak ważnej sprawy poruczać telefonowi i dlatego wziąłem policyjny automobil i jak szalony przypędziłem do pana!

— Czy mogę panu służyó także szklaneczką herbaty? — spytał Holmes, jakby wcale nie zwracał uwagi na pełne znaczenia słowa policyjnego dostojnika.

— Et! daj mi pan spokój z tą lurą! Wolałbym kieliszek dobrego koniaku.

— Możesz pan mieć i koniak! — odpowiedział Szerlok Holmes i zadzwonił na lokaja.

— Dobra marka — rzekł z uznaniem p. Audrieux wychyliwszy napój do dna. — Ależ człowieku, człowieku! — zawołał — Czy nie jesteś wcale ciekaw na to, jaki interes sprowadza mnie do ciebie?

Wielki detektyw skrzywił się pociesznie słuahając relacyi szefa paryskiej policyi.

Oto nie mniej nie więcej — zdarzył się taki niewytłómaczalny wypadek, że w stolicy Norwegii, Stockholmie zginął od kilku dni bez śladu pełnomocnik wielkiego posiadacza dóbr niejaki baron Loewenhaupt.

Prócz osobistej przyjaźni, z jaką był dla barona miał i inne głębokie powody właściciel majoratu do silnego zaniepokojenia się tem zagadkowem zajściem.

Zwrócił się więc w drodze dyplomatycznej do akredytowanego przedstawiciela swego dworu w Paryżu, by przysłał do Stockholmu najlepszych detektywów francuskich, celem odszukania zaginionego.

Ambasador — zwrócił się z tem zleceniem do szefa paryskiej policyi bezpieczeństwa, p. Andrieux, który nie miał nic spieszniejszego, jak korzystając z chwilowej bytności Szerloka Holmesa — oddać w pewne, niezawodne ręce wielkiego detektywa — tą wielką, a odpowiedzialną misyę.

Mistrzowi Holmesowi, który nie takich już spraw się podejmował i z znakomitym skutkiem przeprowadzał — nie zaimponowało zgoła to ostatnie zlecenie.

Przeciwnie, krzyżowało jego plany, gdyż jak wiemy Szerlok Holmes wybierał się właśnie dla odpoczynku w podróż morską z swym przyjacielem, panem markizem de Tanville.

Na dowód wiarygodności słów swoich okazał detektywowi urzędową depeszę.

— Czy tą depeszę otrzymałeś pan bezpośrednio z urzędu spraw zewnętrznych? — zapytał Szerlok Holmes.

— Oczywiście! Prosto ze Stockholmu!

— Nie szyfrowaną?

— Nie! przecież pan widzi!... Masz pan w ręku oryginał.

— Nie do uwierzenia! — zawołał z gniewem detektyw rzucając o stół depeszą. — Żeby tyle nieostrożności, tyle lekkomyślności popełnić za jednym zamachem! A pan — panie szefie ukoronowałeś jeszcze dzieło!

— Jakto? — zapytał zdziwiony i zmięszany Andrieux.

— Zauważ pan tylko! Nie ulega kwestji, że partya pretendenta postarała się o usunięcie pełnomocnika hrabiego.

A teraz — jak pan sam powiadasz — pędzisz jak szalony automobilem przez cały Paryż do mnie, jakbyś umyślnie chciał ich naprowadzić na domysł, że mnie pan sprawę tą poruczasz!

— Do dyabła! Może pan masz i słuszność!... Nie pomyślałem o tem!

— Widzisz pan więc jak mimowoli utrudniłeś mi pan działanie. I będę się mocno dziwił, gdy wrócę żywy ze Sztockholmu, a jeszcze więcej, jeżeli powrócę z dobrym rezultatem!

Po krótkim namyśle zdecydował się Szerlok Holmes wziąć tę niebezpieczną aferę w swoje ręce i to dlatego — jak zapewniał — że misya ta nie koliduje w zbyt gwałtowny sposób z jego zamierzoną podróżą na Północ. Bo ostatecznie jadąc do północnego bieguna, może się zatrzymać choćby i w Sztockholmie i rozpocząć działanie jakie mu usilnie szef paryzkiej policyi narzuca. Dobrze! będzie się starał wyszukać zaginionego pełnomocnika hrabiego niech by go to nawet życie kosztowało!

— Zrób mi jednak małą grzeczność — rzekł Holmes — Jedź wprost odemnie do wszystkich detektywów, jakich znasz w Paryżu, by w błąd wprowadzić ludzi, którzy mogliby pana szpiegować. Następnie zawiadom pan swój rząd ale szyfrowaną depeszą, że zlecenie to ja obejmuję.

Uszczęśliwiony i prawie do łez wzruszony szef pożegnał się ze znakomitym detektywem i wyszedł. Szerlok zaś polecił pomocnikowi swemu Harry Taksonowi, by nazajutrz był kompletnie gotów do podróży. Młodzieniec przyjął ten rozkaz z niekłamaną radością.

Na drugi dzień wstąpili dwaj przyjaciele Szerlok Holmes i markiz w towarzystwie nieodstępnego Harry Taksona na pokład jachtu „Aiglon“ będącego własnością francuza i niebawem znaleźli się na zielonych falach kanału Lamanche.

Szerlok zapytany o kierunek jazdy — oświadczył, że zwiedziłby chętnie Sztockholm, którego jeszcze wcale nie zna.

Przyjaciel detektywa zgodził się z całą gotowością na to, domyślając się, że urzędowa służba powołuje go w te strony i zarazem ofiarował mu swoją pomoc, o ile byłaby na co przydatną a Holmes potrzebowałby jej.

Wielki detektyw uścisnął z podziękowaniem dłoń francuza.

ROZDZIAŁ II.

Wróg daje znać o sobie.

Byli na pełnem morzu. Cudowna pogoda sprzyjała podróży, a lekki zachodni wietrzyk niósł ożywiający wilgotny aromat oceanu.

„Aiglon“ sterował na północ i w kierunku Szwecyi płynął.

Czwartego dnia podróży zameldował kapitan statku, że dla nabrania zapasów węgla i wody musi się zatrzymać w Christiansand, nadbrzeżnym, małym porciku duńskim.

Właśnie patrzał wielki detektyw przez lunetę na morze, gdy nagle opuścił ramię i zdumiony przetarł oczy, potem skinął na markiza i zawołał Harry Taksona, który gdzieś u szczytu masztu zawisł i z kocią zręcznością spuścił się teraz po linie na pokład.

— Chciałbym odbyć z wami małą wojenną naradę i zarazem udzielić kilku spostrzeżeń, które w ostatnich dniach porobiłem.

Przy tych słowach zapalił swoją ulubioną małą fajeczkę, podczas, gdy markiz wydobył z portecigares prawdziwą hawannę,

Trzej panowie przeszli do kajuty Szerloka Holmesa.

— A mianowicie — moi przyjaciele! — mówił Szerlok Holmes dalej — musimy być przygotowani na rozmaite niespodzianki, które — możliwie, że już dzisiaj nas zaskoczą! Przewrotowi ludzie mają długie ramiona i kogo chcą — dosięgną niemi! Z Christiansandu udamy się następnie do Sztockholmu!

— Voila! — zawołał wesoło markiz — z panem pojadę choćby w samą paszczę szatana!

— Ładnie z pańskiej strony! Za to też wkrótce czeka cię pewne radosne zdarzenie!... Co powiedziałbyś na to, gdyby tak jutro stanął przed tobą rodzony twój brat?

— O! to nie możliwe — odpowiedział! — Vicehrabia Guy — mój brat studyuje z wielką pilnością na uniwersytecie w Saint Louis, gdzie nie dawniej temu jak 8 dni go odwiedziłem.

Wielki detektyw rozśmiał się na całe gardło.

— Tanville! Czy wy mnie nie rozumiecie, czy też sądzicie, że nie będzie to zręcznością z mojej strony usunąć na jakiś czas Szerloka Holmesa, figurkę dosyć w świecie znaną, zamiast której ukaże się brat pański?

— Sapristi!... — mruknął markiz pod nosem — otóż znowu wpadłem! Naturalnie, że musisz pan tak uczynić! Kapitalny pomysł.

— Ale jeszcze jedno!

— Czy nie masz pan jakiej liberyi lokajskiej?

— Znajdzie się! — odparł gospodarz statku, a Harry mrugnął na Szerloka ze znaczeniem.

— W tym wypadku — ciągnął Szerlok Holmes dalej — będzie się nazywał Pierre Leste, i jako groom stał w służbie vicehrabiego de Tanville!

— Nie grałem wprawdzie nigdy teatru amatorskiego, ale skoro pan bierzesz na siebie rolę mojego braciszka, no to dobrze! Uściskam i ucałuję pana serdecznie, skoro ukażesz się przed memi oczyma.

— Tylko z całowaniem bardzo proszę ostrożnie, żebyś mi nie starł sminki!

Tanville zaśmiał się basem, ale Szerlok Holmes spoważniał nagle, a energia i stanowczość malowała się w tej chwili w jego klasycznych rysach.

Wjeżdżano do zatoki Chrystyańskiej. Morze roiło się od żagli i kominów, tuż u wybrzeży wznosiły się tarasowato góry pokryte gęstymi liściastymi drzewami. Dzień był pogodny i ciepły, powietrze przesiąknięte balsamiczną wonią morskiej wody i lasów.

Wtem zauważono, że z portu wypłynął w kierunku „Aiglon“ jakiś parowiec z powiewającą na szczytach amerykańską banderą i zmierzał wprost na statek francuza.

Markiz de Tanville — ujrzawszy go — zbladł nagle, uchwycił nerwowo Holmesa za ramię i z siłą żelaznych kleszczów wpił w jego ciało swe palce.

Drugą ręką wskazał mu zbliżający się amerykański statek. Wreście poskoczył żywo do kapitana na pomost. Co mu mówił? nie wiadomo! W miarę jednak słów jego przybierała twarz starego wilka morskiego wyraz zdumienia i niepokoju.

Wielki detektyw — może po raz pierwszy w życiu — nie mógł sobie objaśnić tego wszystkiego co na pokładzie się rozgrywało. Z ważności min i tajemniczości słów ich wnioskował, że to nie są żadne błahostki.

W tej samej chwili wyminął zręcznym zwrotem „Aiglon“ tajemniczy statek i zmierzał pełną parą do przystani.

Nagle zadrżał wielki detektyw i zbladł widocznie, chociaż trwoga nie leżała wcale w naturze

tego odważnego człowieka. Z boku nieznajomego statku zabłysło i potem mały, ciemny przedmiot zanurzył się w wodę i na kształt żarłocznej ryby pomknął jak błyskawica na „Aiglon“. Rozległa się silna detonacya wysoki wał wody skłębił się na powierzchni morza i uniósł na swym grzbiecie francuski parowczyk, by go potem rzucić w otchłań rozwartą.

Markiz nadbiegł tymczasem.

— Co za banda! Co za banda! — zawołał z oburzeniem — Całe szczęście, że jestem oficerem marynarki! Zaraz też wydał mi się ten okręt podejrzanym. Poznałem po jego budowie, że jest to tylko zamaskowany torpedowiec. Pańskie ostrzeżenie było bardzo na czasie panie Holmes! Dzięki Bogu, że uniknęliśmy szczęśliwie katastrofy!

— A widzisz pan – rzekł detektyw z uśmiechem – to znaczy towarzyszyć Szerlokowi Holmesowi i iść mu na rękę!... A więc miałem słuszność! przekonałem pana! Oto najlepszy dowód, patrzaj pan!

Szerlok wskazał przed siebie.

Kapitan okrętu, który w podstępny sposób wypuścił torpedę na statek francuza — widział, że go poznano, dla tego nie maskując się nadal — kazał ściągnąć z masztu gwiaździsty sztandar Stanów Zjednoczonych, a na jego miejsce ukazała się szwedzka chorągiew.

Równocześnie zabłysło na pokładzie wrogiego statku i z hukiem, a pluskiem upadła w morze kula armatnia tuż przed kadłubem „Aiglon“. Dystans był za duży, wskutek czego pocisk nie dosięgnął celu. Szwedzki parowiec zniknął niezadługo na bezmiernym morskim horyzoncie — a statek markiza wpłynął bez żadnych dalszych wypadków do przystani.

ROZDZIAŁ III.

Zamach w norwegskim porcie.

Zawinąwszy do portu udali się wszyscy trzej Szerlok Holmes, Harry Taxon i markiz de Tanville do miasta. Panowie przebrali się oczywiście po spacerowemu, a kapitan, który został na statku dla strzeżenia ładu i porządku otrzymał zarówno od swego chlebodawcy jak i detektywa usilne napomnienie, by nikogo obcego na pokład nie wpuszczał. Napomnienie to atoli zdawało się być zupełnie zbytecznem. Kapitan Serurier był zanadto wielkim służbistą i sprytnym żeglarzem, by sam nie spostrzedz, że zagraża niebezpieczeństwo i z której strony ataku spodziewać się można.

Przechodzili właśnie obok magazynów, gdzie wzdłuż wybrzeża ustawione były formalne spiętrzone stosy olbrzymich pak.

Na ulicy szedł widocznie silnie pijany jakiś obdarty urwisz i wyśpiewując ochrypłym głosem szwedzkie szynkowne pieśni — zatoczył się na trzech cudzoziemców.

W tej samej chwili potężnem uderzeniem pięści potrącił Szerlok swojego przyjaciela francuza tak silnie w krzyże, że ten zatoczył się z jakie dziesięć kroków. Równocześnie krzyknąwszy: „na bok Harry! baczność! – przyskoczył do pijanego opryszka i wymierzył tak silny cios w jego ucho, iż tenże zwalił się jak martwa kłoda u stóp jego.

Ale właśnie na czas uskoczył wielki detektyw o kilka kroków.

Z niewypowiedzianym trzaskiem i łoskotem zwaliła się ze szczytu nagromadzonych i ułożonych na wybrzeżu towarów olbrzymiej wagi paka i całym ciężarem przygniotła sobą leżącego na dole nieprzytomnego opryszka.

Wszyscy trzej podróżnicy spojrzeli ku górze i pojęli sprawę od razu. Oto na samym wierzchu pak stał olbrzymi jakiś drab i z wysokości co najmiej półtora piętra cisnął na dół jeden z najcięższych pakunków przeznaczony bez najmniejszej kwestyi dla Szerloka Holmesa. Cudem tylko wydarł się nieustraszony ten człowiek z objęć śmierci.

Gdy jeszcze detektyw oszołomiony nieudanym zamachem stał mierząc oczyma wielkość ciężaru skrzyni, która w tym wypadku miała mu się stać głazem grobowym, i gdy Harry pobladły ze wzruszenia w radosnem milczeniu ściskał tylko dłoń uwielbianego mistrza — tymczasem markiz de Tranville wydrapał się jak kot na paki, i ze szczytu barykady towarów pochwycił w swoje objęcia zbrodniarza, który pakę strącił i zniósł go jak dziecko jakie na dół.

Tymczasem na dole zebrało się olbrzymie zbiegowisko. Tłum marynarzy, żołnierzy i publiczności cywilnej cisnął się ku pace, dookoła której sączyła się krew i mózg przygniecionego człowieka.

Podniesiono ją natychmiast i oczom przerażonych ukazał się — zaiste! — straszny, grozą przejmujący widok!

Pod paką leżała bezkształtna krwawa masa ciała, wśród której rozróżnić można było pognieciony mózg i trzewia.

Pierwszy ocknął się z niemiłego wrażenia Szerlok Holmes i natychmiast przystąpił do okucia zbrodniarza, który strącił pakę na dół celem zabicia Holmesa.

— A otóż tu leży nóż — rzekł obecny temu żandarm — nóż, który wypadł z kieszeni tego drugiego ptaszka, gdy mu pan nakładał kajdanki.

— Tak! tak! — zawołał Holmes wesoło — cudowny plan łotrów spełznął na niczem! Moje ramię, jak się pokazało jest nieco dłuższe niż owych zbrodniarzy!

Na posterunku policyjnym spisano protokół i wdrożono surowe dochodzenia za nadużycie flagi szwedzkiej.

Teraz i Holmes poznał dowodnie, że ma do czynienia z zorganizowaną dobrze bandą, która nie cofnie się przed żadnem łotrowstwem, byle tylko dopiąć zbrodniczych swych celów.

Ale podstęp za podstęp — chytrość za chytrość! — pomyślał wielki detektyw i z tem postanowił walczyć aż do upadłego.

ROZDZIAŁ IV.

Niespodziane odkrycia mistrza detektywów w górach.

Było już dobrze po południu pewnego pięknego dnia lipcowego, gdy trzej podróżni weszli do restauracyi pod „Wesołym marynarzem“.

Holmes rzucił okiem na rozwieszoną na ścianie mapę okolicy Christiansandu. Postanowił zrobić krótką wycieczkę do wodospadu Torrisdas.

Pożegnał się serdecznie z markizem i Harrym, alias Piotrem, polecając mu z naciskiem, by pod żadnym warunkiem nie spuszczał z oczu markiza. Potem wynajął dwukołowy powozik i pojechał w kierunku gór.

Czas był wspaniały — powietrze przesiąknięte balsamiczną wonią lasów, a ptaki ukryte w konarach odwiecznych drzew napełniały okolicę radosnym świegotem.

Już w znacznej odległości posłyszał światowy detektyw głuchy szum wodospadu i niezadługo ukazało się oczom jego to jedyne w swoim rodzaju wspaniałe zjawisko przyrody.

W tysiącznych splotach pieniąc się i burząc spadały z hukiem po granitowych złomach olbrzymie wstęgi wody napełniając powietrze świeżym wonnym oparem.

Wielki detektyw stał przez chwilę w podziwie, jakby oczarowany niezwykłym, a niewidzianym jeszcze cudem przyrody.

Ale wkrótce przypomniał sobie właściwy cel przybycia i ogółem podróży w te strony.

U tego człowieka było bowiem wszystko, co czynił — ułożone z powziętym planem i celem i z wytyczonej sobie drogi obowiązku, ani złe, ani dobre nie mogło go sprowadzić.

Opodal znajdowała się niewielka grota, nadającą się bardzo dobrze do tego, co zamierzał. Zamiarem zaś jego było przeistoczenie się w postać brata markiza, by tem snadniej omylić czujność zbrodniarzy. Położył kuferek na złami granitu, i wydobył z niego kompletną nową garderobę, począwszy od butów, skończywszy na kapeluszu. W paru minutach zmienił się na vicehrabiego Guy de Tanville, podobnego jak dwie krople wody do swego przyjaciela markiza.

Miał on na sobie wygodny kostyum turystyczny z lekkiej żółtej materyi i niebieską koszulkę w białe prążki. Szeroki pas i ciemno-żółte buciki uzupełniały malowniczą toaletę. Wyborna blond-peruka i mały takiż wąsik — nadawały mu szalonego podobieństwa do markiza, tak, iż zobaczywszy go nikt nie mógłby wątpić w autentyczność brata francuskiego arystokraty. Oczywiście, że przezorny policysta nie zapomniał o rewolwerze i kastecie, które ukrył w kieszeniach ubrania.

Stare ubranie zapakował do walizki, którą oblókł szarym pokrowcem i związawszy paskami wziął jako mały pakunek do ręki.

Właśnie miał wyruszyć w drogę do hotelu który na znacznej wysoczyźnie się wznosił nad wodospadem – a był ulubionem miejscem wycieczek turystów całego świata.

Nagle przystanął.

— Czy to złudzenie — rzekł sam do siebie — czy też naprawdę słychać tu jakieś głosy? Rozmowa, jak zdawało się, toczyła się w cudzoziemskim języku.

Szerlok Holmes począł bacznie podsłuchiwać. Była to dziwna mieszanina łotycko-duńskiego narzecza. Detektyw wlazł z całą ostrożnością, po-

wolutku na drzewo i rozglądnął się dookoła siebie.

Jakoż istotnie spostrzegł na niewielkiej polance czterech ludzi, którzy raczyli się suto wódką i zakąskami, a przytem palili tytoń. Starszy człowiek stał pośrodku i mówił żywo gestykulując.

— Jeszcze raz wam powtarzam, że na przyszłość niewolno nic zgoła przedsiębrać bez mojej woli i wiedzy. Ten waryacki pomysł urządzania zamachu w biały dzień, w przytomności tłumu ludzi — muszę stanowczo potępić. Nigdy niedopuściłbym do czegoś podobnego! Przecież taki idyotyzm przejrzy na wskróś od razu pierwszy, lepszy szpicel!... A wyobrażajcie sobie znowu, że Szerlok Holmes jest pierwszym lepszym łapaczem, pod którego nosem można bezkarnie rzucać bomby i torpedy puszczać!

Przyznam się wam otwarcie, że o ile mi pochlebia, iż na mnie los wypadł zgładzenia tego najniebezpieczniejszego i najchytrzejszego detektywa świata, o tyle — wybaczcie mej szczerości — nie bardzo mi się znowu uśmiecha osobiste spotkanie z tym ananasem!...

Do tego wszystkiego, przez ten głupi, nieudały atentat na morzu nie zyskaliśmy nic zgoła, a zwróciliśmy tylko jego uwagę na siebie! Do dyabła z wami!... Teraz jeszcze trzebaby, by i ta historya z węglami w łeb wzięła!... Z tem wszystkiem jednak — nie damy się bracia i plan nasz przeprowadzić musimy!

— Niech żyje nasz dzielny pułkownik Adlershorst! — krzyknęły trzy potężne basowe głosy. — Wypijmy jego zdrowie!...

Ale panie pułkowniku! — mówił z nich jeden, gdy szklanki zostały wypróżnione — zaręczam panu, że patrzysz zbyt czarno w przyszłość!... W jaki sposób mógłby ten pies policyjny wpaść na domysł, że niewinne węgle kryją dla niego jakieś niebezpieczeństwo?

— Ładne wasze argumentowanie — mruknął pułkownik niechętnie — ale ja wam powiadam, że wy nie doceniacie tego policysty, któremu równego może świat nie posiada!...

— Ale ja o zakład idę! — zawołał jeden z nich – że zainscenizowana na dzisiejszą noc historya z niedźwiedziem powiedzie się znakomicie! Chwal pan sobie spryt i przebiegłość wszystkich szpiclów całego świata, a ja ci powiadam, że tym razem on nam nie ujdzie!

— Et! stary kawał cyrkowy! — zawołał Adlershorst z lekceważącym gestem — Ale skoro tak uchwaliliście, zróbcie co chcecie! Ja umywam ręce! W każdym razie więcej mam zaufania w lont wybuchowy w magazynie węgli, niż w wszystkie niedźwiedzie całego świata!... A teraz dajcie mi się co napić, bom dyabelnie się zmęczył tą gadadaniną bezcelową!

I po tych słowach przytknął do ust butelkę i nie pierwej odjął ją od wiecznie spragnionych warg swoich aż we flaszce dno się ukazało.

Wielki detektyw nie stracił ani słowa z rozmowy łotrów. Gratulował sobie tylko tego, że nie szczędził czasu, aby poznać możliwie wszystkie języki i narzecza ludzkiej mowy. Ale co ma oznaczać, co planują ci zbrodniarze przy pomocy jakiegoś niedźwiedzia? Byleby tylko w nieobecności jego nie urządzili zamachu, którego ofiarą mógłby paść markiz!

ROZDZIAŁ V.

Rozrywki w pewnem Etablissement w Chistiansand.

Wielki detektyw wiedział już dosyć. Resztę skombinował genialnym swoim umysłem.

Ze zwinnością kota zesunął się z drzewa i udał się bezzwłocznie w drogę. Po drodze wstąpił do najbliższej gospody i pokrzepił się cokolwiek jadłem i napitkiem.

Następnie kazał zaprzęgnąć konia do lekkiego wózeczka i nie zwlekając, pojechał z powrotem do Christiansand. Po drodze napotkał owych czterech ludzi, których rozmowę podsłyszał z drzewa.

Wszyscy byli w wybornych humorach, idąc śpiewali wesoło i palili cygara.

Za kilkanaście minut wózek stanął przed bramą ogrodu „Pod wesołym marynarzem“.

Z ogrodu słychać było jakieś wycie, jakby pochodzące z gardzieli dzikiego zwierza.

Markiz Tanville i Harry, który obecnie przybrał chwilowo imię Piotra, siedzieli tam już od dłuższego czasu w cieniu drzew przysłuchując się dźwiękom damskiej orkiestry.

Było to około godziny 5-tej po południu i między gośćmi panował w ogródku nastrój wesoły i podniecony. Obok kapitanów i oficerów okrętowych siedziały liczne gromadki zwyczajnych ma-

rynarzy, którzy korzystając z urlopu, nie mieli nic spieszniejszego, jak zaoszczędzoną gażę utopić „Pod wesołym marynarzem“ we winie, piwie i wódce.

W tylnej części ogrodu była niewielka estrada, na której produkowali się kupleciści, murzyńscy trubadurzy, kuglarze, szansonetki, dzicy ludzie i inna quasi-artystyczna zbieranina z całego świata.

Elegancki i prawdziwie po pańsku wyglądający i ubrany markiz, wzbudzał ogólne zainteresowanie u publiczności.

Być może — wiedziano już, że najsławniejszy detektyw świata przybył w jego towarzystwie, być może wiedziano, że on to był celem zamachu w zatoce!...

ROZDZIAŁ VI.

Bestyalski zamach.

Tymczasem Harry poszedł przejść się trochę po ogrodzie i stanął przed klatką niedźwiedzia, przed którą stało dwóch jakichś ludzi oddanych tak pilnie własnej rozmowie, że nie spostrzegli nawet bliskiego sąsiedztwa trzeciego człowieka.

Harry starał się ze swej strony nie zwracać najmniejszej uwagi na siebie i udawał że absorbuje go w zupełności potworny niedźwiedź, który rzucał się jak wściekły w małej swej klatce i potrącał potężnemi łapami żelazne sztaby swego więzienia, otwierając od czasu do czasu z przeraźliwym rykiem paszczę swą uzbrojoną olbrzymiemi zębiskami.

Ludzie stojący przed klatką rozmawiali po szwedzku, ale Harry wyuczył się w drodze wcale nieźle tego języka, a przynajmniej znał go już o tyle, że mógł zrozumieć treść ich rozmowy.

Jeden z nich ubrany jak prawdziwy sportowiec w podróży zdawał się przekonywać o czemś drugiego, który wyglądał na jakiegoś wieśniaka lub wyrobnika.

Elegancki pan wcisnął w dłoń chłopa kilka zagranicznych banknotów i zaręczał mu, że doda drugie tyle, jeżeliby niedźwiedziowi miało się stać co złego.

Młodzieniec podsłuchiwał bacznie.

— Nie karmiłeś dzisiaj tej bestyi?

— Nie panie! Niech się Bogu odda, kto go teraz podrażni! Zdaje mi się, że i mnie samemu z trudnością tylko przyjdzie utrzymać go w spokoju!

— Tem lepiej!... Czy nadpiłowałeś jedno ogniwo w łańcuchu ażebyś mógł je złamać, gdy zwierzę swoim zwyczajem zacznie zębami łańcuch targać?

— Tak jest ojczulku! Ten człowiek, na którego mój niedźwiedź się rzuci, umrze zaprawdę straszną śmiercią!... Błagam was!...

— Głupstwo! nie zawracaj mi głowy! Ale pamiętajcie Hildebrand!... Gdybyście nas zawiedli, to miałbym coś władzom do opowiadania o uciekinierze handlarzu futer z Christianii.

— Na Boga! Tego pan nie uczynisz! — zawołał błagalnie chłop — Zrobię już wszystko, czego chcecie!

— Wykonasz, to dwa tysiące koron jest twoje!

— A jeżeli mi się nie uda, jeżeli biedny mój miś straci życie? Panowie marynarze nie żartują nigdy a w ich kieszeni zawsze jest rewolwer na podorędziu, a każdy z nich umie wybornie robić nożem!...

— Nie bój się nic o siebie! W ogólnem zamięszaniu i popłochu znikniesz niespostrzeżenie, że sam dyabeł cię nie odszuka! Nasz punkt zborny na południowej tamie, gdzie na każdy sposób będziesz miał jeszcze małą robótkę do wykonania! Chybaby dyabeł się wdał w sprawę, gdybyśmy teraz tego francuskiego szpicla nie dostali!

Harry powstrzymał się całą siłą, aby nie zrobić użytku ze swego rewolweru.

W głowie mu się mąciło. Mistrz był nieobecny, natomiast widział, że markiza życie jest w najwyższem niebezpieczeństwie.

Chyłkiem przekradł się napowrót do ogrodu, gdzie murzyni odprawiali na estradzie swoje dzikie tańce i śpiewy. Wyskakiwali w górę, wrzeszcząc niemiłosiernie bili się tamburinami po kędzierżawych głowach, łokciach i kolanach ku wielkiej uciesze publiczności.

Właśnie zjawił się w ogrodzie poskramiacz niedźwiedzia i z talerzem w ręku obchodził stoły zbierając od publiczności dobrowolne datki na murzynów.

Harry zaczął w tej chwili skradać się za nim.

Hildebrand zainkasowawszy parę drobnych niklowych monet od marynarzy — sunął teraz prosto do stolika markiza. Harry Taksonowi wydało się, że chłop wypuścił jakiś przedmiot z pod niebieskiej swojej bluzy i upuścił go tuż koło stolika francuza. Gdy poskramiacz poszedł, dalej Harry

podniósł nieznacznie ów przedmiot, w którym poznał ku swojemu zdziwieniu spory kawał surowego mięsa.

Wracając tą samą drogą Hildebrand podszedł jeszcze raz do markiza, skłonił się do jego nóg i ucałował poddańczo kraj jego odzienia.

W tej chwili pojął młodzieniec wszystko! Zrozumiał piekielny zamiar łajdaka. Zgłodniałemu zwierzęciu rzucił chłop na przynętę kawał surowego mięsa, aby tem pewniej i wprost przyszło do markiza, któremu w dodatku posmarował krwią ubranie, udając, że mu składa niewolniczą podziękę, gdy go obejmował za nogi.

Nie chcąc zaś na siebie zwracać uwagi, odszedł jeszcze umyślnie kilka stołów, zbierając na talerz drobne datki.

ROZDZIAŁ VII.

Walka z norwegskim niedźwiedziem.

Gdy murzyni zeszli wreszcie z podium, Harry pobiegł co tchu do markiza i wtajemniczył go w niecne zamiary poskramiacza.

Arystokrata zdumiał się nieco, ale na twarzy jego nie odmalował się ani ślad jakiegoś zaambarasowania, tem mniej strachu.

— Walka z niedźwiedziem norwegskim?! — zawołał z fantazyą — ach! w to mi graj przyjacielu! Niech ich dyabeł porwie tych opryszków! Nie wiedzieli nawet jaką mi tem satysfakcyę zrobią. Dla mnie, który polowałem na bengalskie tygrysy — wierzaj mi! — jest potykanie się z niedźwiedziem — igraszką!!...

Harry przestrzegł go jeszcze, że potworny stróż niedźwiedzia pomazał mu surdut krwią bydlęcą i chciał białem winem zmyć te ślady. Dzielny francuz sprzeciwił się temu stanowczo, mówiąc, że właśnie rad jest z tego, iż dzika bestya idąc za węchem musi jego od razu zaatakować nim padnie ofiarą innych ludzi. Żałował tylko nowego swego żakieta.

Przytem zastrzegł się, by Harry nie ważył się strzelać do potwora, którego postanowił sam bez użycia palnej broni sztućcem myśliwskim położyć.

Harry pomimo tego jednak nie chciał dopuścić do ręcznej walki markiza ze zwierzem, ustawił się za drzewem, by przy pierwszej sposobności wypalić w łeb niedźwiedziowi.

Ogród zapłonął tysiącem różnokolorowych świateł i lampionów elektrycznych, co nadało całości prawdziwego jakiegoś południowego uroku. Można było oddać się złudzeniu, że się człowiek znajduje gdzieś w Wenecyi lub Neapolu, a nie na Północy.

Damska orkiestra przestała grać i cofnęła się w tył, na jej miejscu pojawiła się zaś muzyka złożona z fletów, bałabajek i tamburinów. Równocześnie ukazał się na podium Hildebrand z dzikiem swoim zwierzęciem, które do taktu wrzaskliwej muzyki zaczęło wyprawiać pocieszne skoki, nie przestając jednak groźnie mruczeć i kłapać zębiskami.

Gdy jednak niedźwiedź chciał sobie na coś więcej pozwolić wystarczyło do natychmiastowego poskramienia lekkie nawet pociągnięcie łańcucha, którego ostatnie ogniwo miał przekłute przez nos nieszczęśliwy artysta czworonożny. Reszty tresury i zachęty do uległości i posłuszeństwa dopełniał gruby rzemienny kańczug, który w ręku chłopa świszczał ustawicznie po plecach niedźwiedzia.

Poskramiacz podał teraz swojemu elewowi do przednich łap ciężką żelazną sztabę, którą trzymając tańczył biedny niedźwiedź w takt muzyki, przynaglany do coraz szybszego tempa kańczugiem i krzykami swojego mentora.

Poskramiacz pociągnął jeszcze silniej za łańcuch, tak, że zwierzę szarpnięte nielitościwie za nos ryknęło z bólu. Niedźwiedź upuścił w tej chwili trzymany w łapach żelazny drąg i z wściekłością zaczął targać za łańcuch.

I wtedy stało się!... Żelazny łańcuch pękł!... Poskramiacz zatoczył się w tył, jakby stracił równowagę.

Niedźwiedź zobaczywszy się wolnym zgłupiał w pierwszej chwili; zdawało się, że rzuci się na swego gnębiciela. Ale natomiast podniósł mordę i zaczął łapać powietrze, poczem jednym skokiem znalazł się z estrady na ogrodzie i pomknął, węsząc tuż przy ziemi — między publiczność.

Wśród gości powstała nie do opisania panika. Rzucano się tłumnie w rozmaite strony ogrodu — tratowano się i przewracano nawzajem; większa część ławek i stołów została połamana. Przeraźliwe krzyki, przekleństwa i spazmatyczny płacz kobiet napełniał powietrze.

Tymczasem markiz podniósł się ze swego siedzenia i z całą zimną krwią nasadził tylko silniej

panamski kapelusz na głowę, skórzane rękawiczki naciągnął na ręce — wydobył duży nóż myśliwski i z wzrokiem utkwionym nieruchomo w nadchodzącego zwierza, czekał na jego przybycie.

Harry dawał pilne baczenie na wszystko, co się dzieje.

Stał za drzewem z gotowym do strzału rewolwerem, czekając tylko sposobnej chwili dla położenia potworu.

ROZDZIAŁ VIII.

Droga wolna!

Wśród ogólnego popłochu i zamięszania nie zauważył nikt, że nadjechał mały, dwukołowy powozik.

Wielki detektyw, który przybył tym pojazdem posłyszał już zdala dzikie ryki, których znaczenie nie budziło w nim najmniejszych wątpliwości.

Poznał, że to ryk niedźwiedzia.

Szerlok Holmes wpadł do ogrodu. Zaraz u bramy ujrzał podejrzane indywiduum pstro ubrane, z kudłatym łbem i lassem w ręku. Bezczelna twarz wyrażała wewnętrzne zadowolenie i radość.

Detektyw przyskoczył w tej chwili do niego i potężnem uderzeniem kułaka w skroń powalił go na ziemię, poczem z błyskawiczną szybkością i nieporównaną wprawą założył mu kajdanki na ręce i nogi.

Wreszcie przywłaszczywszy sobie laso pobiegł dalej w głąb ogrodu.

To, co zobaczył zmroziło mu krew w żyłach.

Naprzeciw dzikiego zwierza stał nietylko Harry Takson , ale i przyjaciel markiz, który z utkwionym wzrokiem w niedźwiedzia, trzymając w ręku błyszczący kordelas — czekał decydującej walki z strasznym czworonogiem.

W chwili, kiedy przestrzeń była już bardzo mała, wypalił Hrry w łeb niedźwiedziai i — spudłował w szkaradny sposób.

Być może, że światło elektryczne, go raziło, być może, że niedźwiedź, którego za cel wziął rzucił się właśnie w chwili strzału łbem naprzód, dość, że Harry chybił i dzikie zwierzę znalazło się tuż przed francuzem.

Markiz nie czekając na zaczepkę niedźwiedzia pierwszy ugodził go z taką siłą pięścią w brzuch, że zwierz zatoczył się i zachwiał. Nie zwlekając przyskoczył odważny francuz do niego i ścisnąwszy go jedną ręką za potężny gardziel — utopił długi myśliwski nóż w jego piersi.

Równocześnie, rozległ się strzał, pochodzący z rewolweru Harry Taksona, który tym razem nie chybił a także lasso rzucone wprawną ręką Holmesa oplątało nogi niedźwiedziowi powalając go na ziemię. Strumień krwi buchnął z pyska potwora, jeszcze jedno drgnienie, i niedźwiedź północny nie żył!...

Entuzyastyczne oklaski i okrzyki wyrwały się z tysiąca ust gości, którzy opanowawszy pierwszy strach paniczny — powrócili do ogrodu i z pewnej odległości obserwowali z zapartym oddechem wynik niebezpiecznej walki człowieka ze zwierzęciem.

Na cześć zwycięzcy zagrała muzyka marsyljankę.

— Dalej Harry! ze mną! — zawołał znajomy jakiś głos za plecami młodzieńca.

Gdy Harry odwrócił głowę, spostrzegł ku swojemu zdumieniu drugiego markiza de Tanville. Ale wkrótce połapał się. Oczywiście! Byłto jego mistrz w łudzącej charakteryzacyi i przebraniu wicehrabiego Guy, rodzonego brata markiza.

— To wy mistrzu?! — Zawołał radośnie.

— Właśnie przybyłem jeszcze na czas mój Piotrze!... Wszystko poszło przepięknie i możemy sobie podziękować, że zarówno lasso, jak rewolwer i nóż spełniły zadanie swoje należycie!... Ale teraz pójdź! nie mamy chwili czasu do stra cenia!

I odwiązawszy lasso z ścierwa niedźwiedzia pobiegł pędem w kierunku wodospadu, a za nim Harry nie posiadający się z radości ale zarazem i podziwu z powodu dziwnego zachowywania się swojego mistrza.

Na zakręcie leśnej drogi rozpiął pośpiesznie lasso między dwoma drzewami, a sam wraz ze swym pomocnikiem ukrył się powyżej między zaroślami.

Niezadługo usłyszano szum i turkot motorowego wózka, który całym pędem zbliżał się do niebezpiecznego miejsca, i w chwili, gdy miał przebyć fatalny ów zakręt — wywrócił się z miejsca wyrzucając swego pasażera na bok drogi.

„Good verdam mych!“ — zawołał wylatując z siedzenia jakiś barczysty człowiek, a nie byłto wcale nikt inny jak znany poskramiacz niedźwiedzia

Hildebrand, do którego przypadł natychmiast Szerlok Holmes i założył mu na ręce nowe, eleganckie kajdanki.

Tymczasem Harry podniósł przewrócony motorek i skonstatował, że w upadku nie doznał żadnych poważniejszych obrażeń.

Umieściwszy nieprzytomnego Hildebranda w siedzeniu pomknęli tym samym pojazdem do miasta.

Tu oddali w niezawodną opiekę policyjną pana Hildebranda, a Szerlok Holmes wyrobił sobie dłuższe posłuchanie u szefa biura publicznego bezpieczeństwa, który miał już urzędową wiadomość o aferze z niedźwiedziem, a z ust Szerloka dowiedział się także i o tem, że cały piekielny ten zamach był przez łotrów uplanowany u wodospadu Torridsfall, jak niemniej, że zbrodniarze mają dziś w nocy schadzkę na południowej tamie. Wielki detektyw nie zamilczał również o tajemnym planie spiskowców, co do którego jednak tylko tyle wiedział, że zamach ma być wykonany przy użyciu przewodów elektrycznych a w grę tu wchodzą także węgle!...

Szef policyi, bystry urzędnik — odgadł o co się rozchodzi. Jeszcze tej nocy kazał pozatapiać wszystkie zapasy węgla, które dostarczono na statkach do portu, a rząd uzupełnił z własnych funduszów towar ten w jak najlepszej i niepodejrzanej jakości.

Przekonano się, że pod węglami ukryte były miny prochowe, których wybuch miał zniszczyć stojący w bezpośrednim ich sąsiedztwie jacht parowy „Aiglon."

Wreszcie, dzięki czujności i sprężystości dyrektora policyi zaskoczono niespodzianie zbrodniarzy właśnie w tej chwili, gdy odbywali narady swoje w nocy przy południowej tamie.

Pomimo rozpaczliwej obrony opryszków, których ofiarą padło kilku policyantów, zmuszono ich do ucieczki, udaremniając przynajmniej na razie, na tę noc ich wszystkie niecne machinacye, Niestety! żadnego z nich złapać się nie udało. W ciemnościach nocy zniknęli na morzu szukając ocalenia na szybkich parowych łodziach przygotowanych na wszelki wypadek u brzegu.

Gdyby jednak nie spryt i pomysłowość Harry Taxona, kto wie, czy piękny statek „Aiglan" wraz ze wszystkimi pasażerami, nie znalałby się był na dnie morskim.

ROZDZIAŁ IX.

W francuskim konsulacie w Sztockholmie.

Statek „Aiglon" opuścił nazajutrz zrana niegościnny port i popłynął dalej na północ. Jeszcze przedtem przedstawił markiz de Tanville kapitanowi i sternikowi swego okrętu — przebranego Szerloka Holmesa za swego młodszego brata, podróżującego w towarzytswie grooma Piotra.

Na zapytanie kapitana, gdzie się podział Szerlok Holmes, odpowiedział markiz, że wielki detektyw zatrzymał się na parę tygodni w Norwegii i zapewne jest teraz w drodze do Gauetamassio. Z powrotem zabierze go „Aiglon" na swój pokład.

— Jaki obrać kierunek podróży? — zapytał kapitan przykładając dłoń do daszka czapki.

Markiz odpowiedział:

— Oczywiście, że do Sztockholmu pojedziemy. W moim konsulacie chcę się użalić na niecne zamachy i napaści, jakich przedmiotem byłem w mojej podróży.

Wbrew obawom markiza nie wydarzyło się im nic złego ani w Kopenhadze, ani wzdłuż szwedzkich wybrzeży, ani na Wschodniem morzu.

Podróżnicy zajechali szczęśliwie na swoim pięknym parowcu do portu sztockholmskiego, gdzie ku wielkiemu zdziwieniu kapitana „Aiglon" oczekiwał przybycia markiza sam konsul francuski we własnej osobie.

Po sutem śniadaniu urządzonem we trójkę w konsulacie — przeszli panowie do fumoiru, gdzie wielki detektyw odkrył konzulowi swoje incognito i cel przybycia.

Zdumienie i podziw dostojnika nie miały granic. Ściskał ustawicznie ręce Holmesa i z uwielbieniem patrzał mu w oczy.

— Boże! czyżbym kiedy śnił o tem, że przesławny detektyw światowy Szerlok Holmes we własnej osobie zaszczyci nas odwiedzinami i użyczy znakomitej swej pomocy? O! teraz jestem już spokojny, że dotrzymam obietnicy danej hrabiemu Heilbronnowi.

Zatarł ręce i mówił dalej z radością:

— O! pan go odszukasz! Odszukasz pan pełnomocnika generalnego hr. Heilbronna — tego nieszczęśliwego Löwenhaupta i powrócisz go na łono rodziny, która utraciła już nadzieję zobaczenia go kiedykolwiek!

Genialny kryminalista przysłuchiwał się jego słowom w milczeniu.

— A może — mylisz się Excelencyo! — rzekł spokojnie — ci którzy sprzysięgli się na śmierć jego, ci którzy w drodze urządzili już kilka zamachów na mnie — wszak są dobrze poinformowani, że tu przybyłem i w jakim celu!... A gdzie jest ich centrum, ich główna siedziba, czy Excelencya nie wie czasem?

— Bóg raczy wiedzieć tych potworów!... Być może, że tu w stolicy, lub w prowincyonalnem miasteczku lub w dzikich lasach lub na niedostępnych górach! Skąd ja mogę wiedzieć? Ale posłuchaj pan! przedstawię cię panu Heilbronnowi. To będzie mu pociechą! Wszak wiesz, że spisek jest skierowany przeciwko jego osobie, a łotrzy wykonanie zbrodniczego dzieła rozpoczęli od usunięcia pełnomocnika jego i zaufanego przyjaciela Löwenhaupta. Ocalenie Löwenhaupta podwójnie uszczęśliwi hrabiego Heilbronna: najpierw powróci mu przyjaciela, a następnie upewni, że planowane niegodziwe zamachy zostały przez pana w samym zarodku zduszone.

— O co właściwie rozchodzi się tym ludziom, którzy poprzysięgli śmierć bogatemu hrabiemu Heilbronnowi? — zapytał Szerlok Holmes.

— W pańskiem pytaniu tkwi już odpowiedź! — odpowiedział konzul. — Otóż ponieważ jest bogaty, a ludziom tym bez czci i sumienia zależy na wydarciu jego niezliczonych skarbów i zapasów pieniężnych. Znam stosunki tego kraju. Istnieje tu od niejakiego czasu podobnie jak w południowych krajach, skąd zdaje się nawet zostało przeszczepione — zbrodnicze stowarzyszenie mające na celu wydzieranie i przywłaszanie sobie bogactw i obcego mienia, by potem między członków bandy je rozdzielać. Jakie mają dalsze plany co do osoby i majątku hrabiego Heilbronna — nie wiem. To pewna, że życiu jego i domowników jego zagraża z tej strony poważne niebezpieczeństwo!

— Miejmy nadzieję — odparł Szerlok z stanowczością — że uda mi się usunąć owo niebezpieczeństwo, choćby osiągnięcie owego celu miało mnie życie kosztować!

— Excelencyo! — dodał po chwili namysłu — Czy nie wiesz o jakim zaufanym pewnym ślusarzu?

Potrzebowałbym na gwałt ubrania szwedzkiego robotnika, jak również jego narzędzi i wytrychów!

— Owszem! będziesz go pan miał w tym momencie do swej dyspozycyi! — odparł konzul i posłał służącego po znajomego ślusarza.

— I jeszcze jedno — dodał wielki detektyw — Jeżeli to panu nie nastręczy trudności chciałbym mieć zawsze w pogotowiu silny solidny automobil!

— Proszę! dysponuj pan każdej chwili moim!

— O! nie! — zawołał Szerlok z żywością — pański automobil poznano by natychmiast i mnie zazem z nim. Niech to będzie zwyczajna, prosta maszyna motorowa, byle lekka i zdolna do jak największej szybkości. Mój pomocnik Harry jest znakomitym szoferem. Ale na Boga! gdzie jest ten chłopak?

— Czeka na pana w korytarzu! — rzekł markiz.

W tej chwili zapukano, i w pokoju ukazał się ten, o którego pytał się wielki detektyw.

ROZDZIAŁ X.

Wymiana kul z powodu pamiętnika.

Około godziny 9-tej wieczorem rozmawiał pewien ślusarz z eleganckim i z pańska wyglądającym portyerem pałacu pana Löwenhaupta, zaginionego bez śladu pełnomocnika hrabiego Heilbrona, znanego w mieście milionera.

— U nas w pałacu nie ma obecnie żadnej ślusarskiej roboty, poza tem po robotę nie przychodzi się tak późno! — oburknął rzemieślnika wygalonowany cerber.

Ślusarz spojrzał pokornie w jego oczy.

— Wielmożny panie! — zaczął błagalnym głosem — mam w domu chorą żonę i głodne dzieci!. Nie przeszkadzaj mi w zarobieniu pary koron! Zechciej tylko podać Jaśnie pani ten mój adres — (tu wręczył kartkę portyerowi), Jestem do tego domu obstalowany i to o tym czasie!...

Po długich tłómaczeniach się, prośbach i molestowaniach zdołał wreszcie biedny ślusarz uzyskać wejście do wspaniałych apartamentów pani Löwenhaupt.

W nader eleganckim, i gustownie urządzonym saloniku zastał rzemieślnik dwie damy. Jedna z nich wiotka blondynka o ciemno-fiołkowych oczach, właściwych tylko córom Północy, wstała na jego przyjęcie i obcierając niedawne ślady łez

z twarzy — zapytała melodyjnym, smutnym głosem:

— Mister Holmes z Londynu?

— Do usług! — odpowiedział zapytany, którego pod maską ordynarnego rzemieślnika zaledwie poznać można było. — Przybyłem tu z Paryża na życzenie francuskiego ambasadora, by wyjaśnić tą ponurą tajemnicę, która pokryła cię pani żałobą!...

— O! jakżeż wdzięczną panu jestem! — zawołała kobieta i załkała głośno.

Potem podała mu rękę, którą tenże z czcią ucałował.

— Moja matka, pani Briesemeister! — rzekła przedstawiając detektywowi damę podeszłego wieku. — Ale proszę! Zajmij pan miejsce panie Holmes!

Obydwie kobiety spoglądały z podziwem na sławnego detektywa. Przedstawiały go sobie zupełnie inaczej.

Oto stał przed niemi wysoki, chudy człowiek z wyglądu nie różniący się w niczem od zwykłego szwedzkiego rzemieślnika. Tylko bystre, rozumne oczy zdradzały damom coś z jego prawdziwej istoty.

Pani Loewenhaupt opowiedziała szczegółowo historyę zniknięcia męża, przeplatając ją ustawicznemi wybuchami płaczu lub spazmatycznym łkaniem.

— Zapewniam panią — rzekł wielki detektyw, gdy wreszcie skończyła — iż uczynię wszystko, co będzie w granicach mej możliwości, by nieszczęśliwego małżonka pani odszukać! Czy usiłowania moje zostaną uwieńczone pomyślnym skutkiem — tego oczywiście przewidzieć nie mogę, tem mniej zaręczyć za to. Na razie znajduję się zupełnie bez żadnych danych, nie mogę żadnej hipotezy wysnuć, ani na żaden ślad natrafić!... Ale może pozwoli pani, że zadam jej kilka pytań?

— Zadawaj pan ile chcesz tylko!

Szerlok Holmes zaczął kolejno badać daty i rozmaite okoliczności towarzyszące zniknięciu Loewenhaupta, dowiadywał się o ludzi i miejsca związane z tą niewytłómaczalną zbrodnią i notował wszystko skrzętnie w swoim notesie.

Wywiad jego ustalił następujące fakta:

Pan Loewenhaupt zniknął przed 14 dniami we środę dnia 5 czerwca, wieczorem około 9-tej godziny po spożyciu kolacyi.

Fatalnego wieczoru owego wyszedł jeszcze z domu i udał się, jak sam żonie oświadczył do „Klubu Altruistów“, celem omówienia ważnej jakiejś kwestyi.

Od tego czasu nie ujrzano go więcej, pomimo energicznych poszukiwań zarówno ze strony rodziny jak i zarządu „Klubu“ w osobach prezesa Stowarzyszenia br. Loewinga i sekretarza Morninga. Od tego ostatniego dowiedziała się tylko tyle nieszczęśliwa kobieta, która już się za wdowę uważała, że mąż jej wyszedłszy z klubu rozkazał wieść się dorożkarzowi na odległe jakieś przedmieście, gdzie wszedł do jednego z domów.

Przyprowadzony przez sekretarza Morninga dorożkarż ów, nazwiskiem Stieberg, potwierdził w zupełności jego słowa, a rysopis pana, którego wiózł za miasto krytycznej owej nocy — zgadzał się co do joty z wyglądem jej męża.

Poza tem obydwaj panowie, zarówno sekretarz jak i prezes „Klubu Altruistów“ należeli do najlepszych przyjaciół zaginionego i od czasu niewyjaśnionej tej katastrofy okazywali pogrążonej w rozpaczy kobiecie niekłamane swoje współczucie i nie ustają po dziś dzień w dalszych poszukiwaniach za Loewenhauptem.

Detektyw poprosił jeszcze dodatkowo, by pani domu dała mu rodzaj rekomendacyjnego listu do prezesa klubu — tej treści, że jako vicehrabiego Guy de Tanville przyjaciela męża poleca go panu baronowi Loewingowi na pomocnika w zbadaniu tajemnicy zniknięcia Loewenhaupta.

Życzeniu temu uczyniła natychmiast pani Loewenhaupt zadosyć.

— Jeszcze jedno! — rzekł wielki detektyw, chowając polecający list do portfeilu — prosiłbym o pozwolenie przeszukania gabinetu, a zwłaszcza biurka męża pani. Możemy tam znaleść cenne dla naszych poszukiwań wskazówki, może jego własnoręczne zapiski, mogące nadać stanowczy zwrot naszym dochodzeniom...

W tej samej chwili detektyw przerwał i zaczął nadsłuchiwać.

— Co to? — zapytał przyciszonym głosem wskazując drzwi od balkonu.

Lecz zanim zdumione kobiety mogły się zdobyć na odpowiedź — Szerlok Holmes już był na balkonie, a równocześnie wyjął szybkim ruchem rewolwer swój z kieszeni.

Jakiś szary niepozorny cień mignął na balkonie i zniknął gdzieś w tej samej chwili.

— Czy mi się zdawało czy szmer słyszałem? — zapytał detektyw niespokojnie.

Ale obydwie damy nic nie słyszały.

Szerlok Holmes powrócił do pokoju.

— Prosiłbym o klucz od biórka! — rzekł do pani Loewenhaupt.

— Nie mam go, panie Holmes!... Mój mąż klucze od biurka nosił zawsze przy sobie.

— W takim razie trzeba sobie inaczej radzić! — odrzekł wielki mistrz swego fachu i misternym wytrychem otworzył duże amerykańskie biurko.

Ale w zawartości szuflad nie znalazł nic takiego, coby go mogło na jakieś ślady naprowadzić.

Nagle spostrzegł w jednej z szuflad maleńką skrytkę wybornie pod suknem zamaskowaną. Gdy jednak w zamek jej zapuścił swój wytrych — krzyknął na cały głos:

— Ta skrytka była otwarta! Cała zawartość jej poprzerzucana! A zatem miałem jednak słuszność, sądząc, że słyszę szmer jakiś na balkonie!...

— Ha! otóż jest! patrzcie! patrzcie panie! — zawołał nagle z tryumfem wyciągając z szuflady mały plik papierów — Listy i... co to jest? jakiś gruby zeszyt?... Przeczytajmy: „Osobiste pamiętniki Smilesa Loewenhaupta“.

Ale w tej chwili błysnął coś na balkonie i rozległ się lekki strzał, jakby pochodzący z rewolweru małego kalibru.

Szerlok Holmes przywykły do tego rodzaju niespodzianek rzucił się szybko na ziemię i uszedł w ten sposób śmierci. Ale już zerwał się i dobywszy swego browninga strzelił na oślep przed siebie w kierunku balkonu.

Cichy jęk rozległ się na balkonie. Holmes poskoczył za tym głosem rzuciwszy jeszcze pospiesznie kobietom paczkę papierów.

— Proszę to natychmiast schować! — krzyknął i wybiegł.

Na balkonie nie było już nikogo. Detektyw nie namyślając się wiele przesadził ballustradę balkonu i zostawiając w mieszkaniu przestraszone kobiety — sam bez czapki zsunął się po rynnie z pierwszego piętra na dół.

W ciemnościach nocy spostrzegł tylko tyle, że jakaś postać biegła szybko w kierunku miasta, a potem wpadła do automobilu, który w szalonym pędzie ruszył z miejsca.

Szerlok Holmes puścił się ile sił miał w nogach za nim, ale daremnie!... Przestrzeń dzieląca go od pojazdu zwiększała się z każdą sekundą.

Raz tylko przy silniejszym blasku ulicznej latarni elektrycznej zdawało mu stę, że dostrzegł coś z napisu automobilu:

„The — — Company.“

ROZDZIAŁ XI.

Nowy przyjaciel.

Król detektywów widział sam, że dalszy pościg automobilu byłby zupełnie bezcelowy. Dla tego zaniechał tego zamiaru, wszedł do najbliższej dorożki i kazał się wieść się do świętych bram policyi.

Nadkomisarz Schaekleton nie był wcale rad widząc na pół obdartego i zaniedbanego ślusarza. Dopiero gdy Szerlok Holmes wyjaśnił mu swoje położenie i cel spóźnionych swych odwiedzin i wkrótce potem zmieniwszy z szybkością zawodowego transformisty ubranie swe i charakteryzacyę ukazał mu się w swej właściwej postaci — zmienił pan nadkomisarz swoje postępowanie i sposób premawiania do rzekomego ślusarza.

Z opryskliwego stał się czułym i nadskakującym.

W miejsce nieufności i podejrzliwości — wystąpiło teraz u niego niekłamane uwielbienie i podziw dla wielkiego detektywa.

Taki czarowny wpływ miało wszędzie, literalnie w całym świecie — nazwisko genialnego detektywa.

Cóż dopiero mówić, gdy dowiedział się jakiej sprawy podjął się Holmes!

Wielki detektyw był stanowczo zdania, że zaginionego pełnomocnika hr. Heilbronna, a raczej śladów jego i przyczyny nagłego zniknięcia, należy czekać nie gdzieindziej jak w „klubie Altroistów,“ bez względu na to, że należą doń ludzie o znanych nazwiskach i jak najlepszej opinii.

Nadkomisarz Schactleton był śmiałą tą hipotezą poprostu zdumiony, nie oponował jednak, znając od dawna spryt i doświadczenie Szerloka Holmesa.

— Jeszcze jedno panie nadkomisarzu! — rzekł genialny policysta — nie posyłaj pan na wywiady

nikogo ze swych ludzi. Dwie przyczyny skłaniają mnie do tego ostrzeżenia. Po pierwsze pańscy detektywi muszą być zbyt znani w tych zbrodniczych sferach. by nawet w przebraniu i charakteryzacyi mogli zatrzymać swe incognito. Powtóre — co dla was jest bezwarunkowo większej wagi — mogą się znajdować między nimi zdrajcy i zaprzedani zbrodniczej bandzie, którzy udawszy się z twego polecenia — ostrzegą poprostu swoich sprzymierzeńców, i dadzą im czas i możliwość do ucieczki, jeśli nawet wprost im jej nie ułatwią.

— Strasznie to pomyśleć! — rzekł nadkomisarz — komu jednak wierzyć, co czynić w takim wypadku?

— Jeden z nas musi odważyć się wejść do tej lwiej jamy, do „klubu Altroistów.“ Niema jednak mowy, byś pan się mógł podjąć tej sprawy. Zbrodniarze natychmiast poznaliby cię, żebyś się niewiedzieć jak przebrał i zamienił swój wygląd i fizyonomię!

— A więc?

— A więc ja tam pójdę!... Będzie to dla mnie z tego względu łatwiej nieco, że udam się tam w przebraniu i charakterze wicehrabiego Guy de Tanville i jako nieznajomy arystokratyczny cudzoziemiec — zapytam się poprostu czy zastałem w klubie pana Loewenhaupta? Zobaczymy zachowanie się niektórych panów przy takiem zapytaniu — i wyciągniemy z tego dla siebie dalsze konsenkwencye...

— Co pan chciałbyś? — zawołał z podziwem i niejaką obawą nadkomisarz.

Szerlok Holmes położył mu rękę na ramieniu.

— Tak jest panie Shactleton — odpowiedział łagodnie lecz stanowczo — Jest to moje nieodmienne i nieodwołalne postanowienie. Pan ze swojej strony zrób tylko jedno. Ustaw nieznacznie najzaufańszych swych ludzi przed klubem. Niech absolutnie nikogo nie wypuszczają z bramy, dopóki nie usłyszą strzału rewolwerowego z okna. Wtedy niech gromadnie wtargną do domu i to należycie uzbrojeni. Gdyby jednak w ciągu godziny żaden strzał się nie odezwał — wtedy spiesz mi pan z pomocą, a której naprawdę potrzebowałbym w tym wypadku bardzo gwałtownie!

— O Boże! nie mów pan tego! — zawołał z zaniepokojeniem nadkomisarz sciskając rękę wielkiego detektywa.

— Spodziewajmy się, że Bóg wszystko na dobre obróci! — rzekł Szerlok wzruszony — pożegnawszy się pospiesznie z urzędnikiem i zbiegł po tajemnych schodach i znalazł się na ulicy.

Wziąwszy dorożkę stanął niezadługo przed kawianią „Austria“ przy ul. Constantin, gdzie we wspaniałych apartamentach na parterze mieścił się ów podejrzany mu tak bardzo „klub Altruistów.“

Gdy wielki detektyw znalazł się przed portalem podbiegł do niego młody jakiś publiczny posługacz i z ułużnością otworzył przed nim szklanne drzwi wiodące do kawiarni.

Szerlok kiwnął głową i wcisnął w rękę usłużnego człowieka monetę.

To był zwyczajny „usus“ między Szerlokiem a Harrym, gdy nie chcieli być poznani.

Młodociany pomocnik pobiegł kawałek i ukrył się w jednej z bram. Tu odwinął kartkę, w której moneta była zawinięta i odczytał przy elektryczym świetle latarni:

„Gdy Markiz Tanville przybędzie – niech czeka ze swym automobilem przed kawiarnią „Astria.“ Baczność strzał rewolwerowy. Harry niech uważa na przybycie brunatnego automobilu!“

Harry skoczył natychmiast do nadchodzącego elektrycznego tramwaju i pojechał, by bezwłocznie wykonać zlecenia swego mistrza.

ROZDZIAŁ XII.

Łapka na ludzi.

Wielki detektyw posłał natychmiast prezesowi klubu swój bilet wizytowy opiewający oczywiście na nazwisko wicehrabiego de Tanville.

Wprowadzono go do obszernego parterowego pokoju, widocznie kancelaryi pana prezesa.

Szerlok skłonił się z całą swobodą wielkoświatowca.

— Przepraszam stokrotnie panie baronie! — rzekł — ale nie zbawię panu długo czasu. Jestem wicehrabia de Tanwille!

— Baron Leving! — odparł spokojnie pan prezes podając gościowi rękę. — Proszę wierzyć, że nie przeszkadzasz mi pan w niczem! Czem mogę panu służyć?

— Szanowny panie baronie! Przybywam prościutko z Paryża — mówił Szerlok Holmes — i zabawię w Sztokholmie niedługo!... Otóż słysza-

łem. że mój serdeczny przyjaciel jeszcze z lat młodzieńczych — niejaki pan Loevenhaupt bawi stale w waszem mieście. Jest on podobno pełnomocnikiem milionera hr. Heilbronna. Radbym się bardzo zobaczyć z moim druhem, i ręczę, że pan mnie najlepiej o nim poinformuje, gdyż w klubie pańskim ma on być codziennym gościem!

Mówiąc te słowa patrzał Szerlok Holmes bystro na panu prezesa, na którego twarzy dostrzegł niejakie zakłopotanie.

— Czy mogę pana służyć prawdziwe hawana? — rzekł prezes podsuwając detektywowi pudełko z cygarami.

— Stokrotne dzięki! — odparł Holmes — nie jestem wprawdzie znawcą cygar, gdyż palę zazwyczaj papierosy, tym razem skorzystam jednak z uprzejmej gościnności szanownego pana!

Zapaliwszy cygaro poczuł jednak detektyw, szczególniejszą jakąś aromatyczną woń jego, która wydała mu się mocno podejrzaną.

— Wyborne! — rzekł — Pomimo tego jednak wolę pozostać przy moich papierosach. Dym cygara tego jest dla mnie za silny.

Strzepnął popioł i ogień; zręcznym ruchem wpuścił cygaro nieznacznie do rękawa, skąd potem znalazło się w kieszeni jego.

— A to łajdak! — pomyślał — Uciekać się do tak pospolitego, ordynarnego kawału używanego dziś tylko przez oszustów kolejowych! — Głośno zaś dodał:

— No i cóż się dzieje panie prezesie z moim przyjacielem, panem Lövenhauptem?

— Pan Lövenhaupt o ile mi wiadomo, wyjechał w sprawach swego mocodawcy na południe — odrzekł pan prezes znudzonym tonem — Ale proszę panie wicehrabio! Niech pan siada i przepraszam zarazem, że zapomniałem o tym pierwszym obowiązku gościnności! O! ten fotel jest niezmiernie wygodny, mogę go panu szczerze polecić!

Wskazał na fotel stojący tuż obok biórka, a którego tylna poręcz dotykała zamkniętych jakiś drzwi.

— O! dziękuję panie baronie! Postoję z całą przyjemnością. Nasiedziałem się dość długo w wagonie.

W tej samej chwili atoli uczuł z tyły silne uderzenie w głowę.

— Durniu! dlaczego nie siadasz, gdy cię pan baron prosi? — zawołał jakiś surowy, ochrypły głos.

Holmes obrócił się i wymierzył potężny cios pod brodę napastnika, który stał za nim.

Ale trafił swój na swego. Silny drab zachwiał się, ale mimo tego rzucił się na detektywa i zaczął się z nim pasować. Kto wie czy wielki detektyw nie byłby się z nim uporał, gdyby „pan prezes“ nie był olbrzymowi osobiście z pomocą pośpieszył.

Przyskoczywszy do Szerloka uderzył go tak silnie w żołądek, iż tenże zatoczył się i upadł na siedzenie zachwalanego fotelu, do którego jednak wielki policysta żywił pewną nieufność.

Że nieufność ta była uzasadnioną miał się niebawem nieszczęśliwy człowiek przekonać.

Gdy tylko spoczął na fotelu, pochwyciły go automatycznie za ramiona i skrępowały dwie żelazne obręcze, podobnież i nogi zostały obezwładnione.

Równocześnie z oparcia opuścił się knebel na jego głowę zatykając silnie usta.

— Czy mściciele są gotowi? — zagrzmiał potężnym głosem prezes, i nacisnął taster elektrycznego dzwonka.

Fotel, razem z siedzącym zaczął się powoli zagłębiać pod ziemię.

Biedny Szerlok nie mógł się bronić ani krzyknąć nawet.

— Niech tak giną szpicle całego świata! — Krzyknęli na głos zbrodniarze.

A fotel zniknął tymczasem pod powierzchnią podłogi, która w tem miejscu zasunęła się znowu nie pozostawiając nawet śladu, że był w niej jakiś otwór.

ROZDZIAŁ XIII.

Ofiary biczowania.

Szerlok Holmes skrępowany i ubezwładniony znalazł się spuszczony w fotelu na samym dnie rozległej, głębokiej piwnicy.

Nie miał najmniejszych widoków ani nadziei, by z tego rozpaczliwego położenia wydostać się siłą lub podstępem. Przeciwnie! przygotowany był na najgorsze ewentualności, a groźne słowa opryszków:

— „Niech tak giną szpicle całego świata“! — brzmiało mu jeszcze dotychczas w uszach.

Teraz spostrzegł, że zdala zbliża się ku niemu jakieś światełko. Była to oczywiście elektryczna latarka, którą niósł jakiś wysoki człowiek, a za nim postępowało jeszcze trzech innych. Wszyscy mieli na twarzach maski, prócz tego odziani byli w długie, czarne habity z kapuzami.

Teraz przyszedł Szerlok na to, co ma oznaczać wyraz „mściciele“! Byli to z pewnością członkowie klubu, a właściwie rozbójniczej bandy.

— Oto siedzi tu łotr! — zawołał z nich najstarszy — Zdejmcie go z tego fotelu, ale ostrożnie! Następnie wsadźcie mu jego własne kajdanki i odprowadźcie!... Niech ten pies policyjny poniesie zasłużoną karę, a potem — precz z nim!...

— Zapamiętaj to sobie panie Holmes! — urągał drugi — że ze szwedzkimi bandytami nie ma żartów!...

— Zmiłuj się panie baronie! — mitygował go inny — Jak pan możesz te słowa wymawiać wobec psa tego? Czyś pan oszalał?

— Nie szkodzi! Pan Holmes nie zdradzi nic więcej w swojem życiu!

Umarli nie mówią!...

Wielki detektyw spojrzał z pogardą na swoich przyszłych katów.

Tymczasem uwolniono go z żelaznych obręczy, natomiast nałożono okowy na jego ręce.

Zdemaskowany baron, w którym poznał zacnego prezesa klubu, pana Loewinga, skierował na bezbronnego lufę swego rewolweru i krzyknął:

— Jeden ruch, a będziesz trupem!... Wyprowadzić tego szpiega i oddać w ręce mścicieli!...

W tej chwili porwały go cztery ramiona i uniosły przez jakieś kręte schodki do drugiej piwnicy tam rzucono go ze skrępowanemi ramianomi na jakieś worki, wypełnione czemś sypkiem a miękkiem. Wnosząc z zapachu, który napełniał całą piwnicę — domyślał się Holmes, że zawartość tych worków stanowi — herbata.

Gdy wielki detektyw potoczył oczyma po oświetlonej pochodniami piwnicy — przedstawił mu się pełen grozy, ale nie pozbawiony oryginalności widok, przypominające średniowieczne misteria.

W tylnej połaci podziemia ustawione było rodzaj podium. Siedziało na niem 4 zamaskowanych ludzi odzianych długiemi habitami z kapuzami. Nad ich głowami była rozwieszona czarna płachta z biało malowanemi emblematami śmierci: czaszką i piszczelami na krzyż złożonymi. Z lewej i prawej strony stały po bokach ławki. W pośrodku piwnicy leżał obnażony i skrępowany jakiś człowiek, nad którym stał jakiś drab w czerwonej opończy i takiejże masce i okładał go niemiłosiernie dyscypliną.

Świst rzemieni mięszał się z przeraźliwymi krzykami katowanego, plecy jego opływały krwią obficie.

— Tylko nie żałuj ręki! — zachęcał kata jeden z „Czarnych“ daj mu także spróbować jak smakuje dyscyplina, której naszym ludziom tak hojnie rozdzielał!...

— Ile naliczyłeś dotychczas?

— Dwadzieścia trzy plag panie!

— Bij dalej! Musisz dojść co najmniej do 50!

Przewodniczący owego strasznego posiedzenia ozdobiony szeroką czerwoną szarfą — zasiadł na trybunie i uderzył o stół po trzykroć małym toporem, będącym oznaką jego urzędu.

— Stowarzyszeni bracia Altruiści i Mściciele! — zawołał wskazując na skrępowanego Holmesa — Oto jeden z najniebezpieczniejszych wrogów naszego Związku. To osławiony i groźny szpicel londyński Szerlok Holmes, który wydałby nas wszystkich z zimną krwią na szubienicę, gdyby szczęśliwy wypadek nie wydał go był w nasze ręce!... Co z nim uczynić?

Wtedy podniósł się jeden z czarnych asesorów i rzekł głuchym głosem:

— Stryczek lub ołów!

Tym samym tonem powtórzyli jego koledzy za nim:

— Stryczek lub ołów!...

Znowu głos zabrał prezydent.

— Chwalę waszą gorliwość i surowość sądu moi bracia Mściciele!.. Różnię się jednak cokolwiek z wami w zdaniu! Gdy tego draba utrupimy tu na miejscu i ścierwo jego gdziekolwiek ukryjemy — możemy się narazić na straszne skutki. Wszak wiecie, że jesteśmy już w podejrzeniu u władz i w razie rewizyi, gdyby znaleziono u nas trupa, nie uszłoby to nam z pewnością płazem! Proponuję zatem dla niego 50 plag dyscypliną, a następnie zapakujemy go w pierwszy lepszy worek z herbaty i rzucimy w morze. Tam go już nikt nie odnajdzie!...

A więc dyscyplina?!...

— Zgoda! Dyscyplina! — zawołali chórem asesorzy.

Usunięto w tej chwili z ławy tortur skrwawionego człowieka, którego dotychczas czerwony kat biczował, obiecując mu nazajutrz resztę plag wyliczyć.

Trzech innych zamaskowanych porwało Szerloka Holmesa i powlokło na miejsce pierwszej ofiary.

— Zdejmijcie z niego odzienie! — zabrzmiał okrutny głos przewodniczącego.

Szerlok Holmes był przekonany, że nadchodzi jego ostatnia godzina. W takiem położeniu nie znajdował się jeszcze nigdy. Pierwszy raz może w życiu zwątpił w szczęśliwą swoją gwiazdę.

ROZDZIAŁ XIV.

Paniczny strach.

Podczas, gdy wielki detektyw zaciskał zęby z bólu i pasował się sam ze sobą, by nawet jednym jękiem nie dać znać po sobie jak cierpiał zapukano nagle w umówiony sposób po trzykroć do drzwi piwnicy.

— Wpuścić go! To Engelhorn! — rozkazał przewodniczący.

— Policya! — krzyknął przybyły zbiegłszy szybko po schodach — na górze w klubie rewizya!... Każdej chwili mogą nas tu odkryć!... Ratuj się kto może!...

— Zwolna! — zawołał surowym głosem przewodniczący uspakajając spłoszonych i przerażonych tą wieścią towarzyszy — Nie wszystko jeszcze stracone!... Prędko! usuńcie ławę tortur i wszystkie emblemata naszego stowarzyszenia!... Inni niech wsadzą prędko Szerloka do worka z herbaty, a tamtego drugiego szpiega do drugiego worka — i dalej z nimi! Przez podziemne przejścia na trzecią ulicę. Tam czeka automobil służący do rozwozu herbaty. Zabrać te dwa ścierwa i nad morze!...

Rozkaz w mig wykonano i w niecały kwadrans wyglądała piwnica, jak zwyczajny, źle zaopatrzony skład herbaty.

Niezadługo pędził automobil z dwoma workami prostą ulicą ku morzu. Prowadził go rzekomy sekretarz „Klubu Altruistów“ — Morning, obok niego siedział „pan prezes“ Loeving.

Szerlokowi, skutemu we własne kajdany i zaszytemu we worek, przychodziły tysiączne pomysły oswobodzenia się. Nareszcie udało mu się chude swe ręce przewlec przez kajdany. Pierwszą rzeczą było, że zerwał z ust swych przeklęty knebel a ku swojej wielkiej radości spostrzegł, że ukryta jedna kieszeń jego ubrania zawierała bokser i składany fiński nóż. Widać, że rewidujący go oprawcy nie domyślili się istnienia tej kieszeni.

Rozciął więc natychmiast worek, w który był zaszyty, a uwolnienie towarzysza niedoli, który obok niego leżał było dziełem paru minut.

W milczeniu podał mu nóż, sam zaś do swej obrony pozostawił sobie bokser.

Równocześnie prawie jak na umówiony znak wymierzył Szerlok potężny cios szoferowi Morningowi, który bez przytomności zwisł na przedniem siedzeniu. W tej chwili podniósł się towarzysz Szerloka. Schwycił pod gardło Loevinga i zmierzywszy fiński nóż w jego piersi krzyknął:

— Giń zdrajco z ręki katowanego przez ciebie Loewenhaupta! Poznajesz mnie teraz? Ja to jestem, ja ten sam pełnomocnik hr. Heilbrona, ja, którego pojmałeś w twoim klubie w podstępny sposób i na okrutną chłostę skazałeś!

Przy tych słowach wbił w serce Loevingowi nóż aż po samą rękojeść. Strumień krwi trysnął i podły człowiek wydał ostatnie tchnienie.

W trakcie tego Szerlok Holmes przeskoczył na przednie siedzenie automobilu i kierował maszyną.

W tem ocaleni posłyszeli za sobą turkot nadjeżdżającego drugiego automobilu, i równocześnie rozległy się okrzyki:

— Stać, stać!... Ręce do góry, bo strzelamy! Stać w imieniu prawa!.

I w tej chwili wyskoczyli ze ścigającego pojazdu — markiz de Tanville, wierny Harry i nadkomisarz Schacleton, którego pomocnik detektywa uwiadomił o zleceniu Holmesa, by szczególniejszą dawać baczność na automobil z napisem: „Tee — Company“ (Towarzystwo herbaciane).

Przywitanie przyjaciół było szczere i rozczulające. Wszyscy winszowali sobie wzajemnie cudownego niemal ocalenia z rąk niecnych bandytów.

Cud to był bez kwestyi, lecz cudotwórcą nie był nikt inny jak genialny i odważny, pełen poświęcenia sławny detektyw światowy — Szerlok Holmes!...

KONIEC.

LITOŚCIWE DUSZE.

(Humoreska kryminalna z angielskiego).

Na stacyi, którą minęliśmy — wsiadł do naszego przedziału młody dosyć chłopak o wyglądzie więcej niż marnym i zajął miejsce obok jakiegoś tłuściocha, którego tusza i fizyognomia świadczyła o doskonałej równowadze pierwiastków duchowych i fizycznych.

— Przepraszam najmocniej — rzekł młody chłopiec — że pana deranżuję.

Usadowił się jak mógł na skąpej przestrzeni, którą tłuścioch wolną jeszcze pozostawił.

— Proszę pana bez żenady — odparł gruby człowiek — i zarazem przepraszam, że nieubłagane prawa natury zmuszają mnie do okupacyi większego terenu, niż inni ludzie potrzebują a przepisy kolejowe dozwalają.

— Proszę o bilet! — zawołał konduktor do nowego pasażera.

— Nie miałem już czasu wykupić biletu – usprawiedliwiał się młodzieniec — Ile kosztuje karta aż do ostatniej stacyi?

— Dolara!

Chłopak sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął ją próżną napowrót.

Potem zaczął gorączkowo przeszukiwać wszystkie kieszenie, a twarz jego przybrała wyraz najwyższego niepokoju.

— Boże! — zawołał z rozpaczą — zgubiłem mój pulares! Musiano mi go w natłoku ukraść, gdy wsiadałem do wagonu!

— Musisz pan zapłacić należytość, albo na najbliższej stacyi oddam cię w ręce władzy do ukarania! — rzekł konduktor urzędowym tonem, jaki ci panowie .chętnie wobec pasażerów przybierają.

Zmartwiony młodzieniec wybuchnął płaczem.

— Dokąd chcesz pan jechać? — zapytał korpulentny jegomość.

— Do Chic — Chic – Chicago! — brzmiała odpowiedź przerywana łkaniem.

— Da się jakoś zaradzić nieszczęściu! Ja Saul Bungletree nie jestem człowiekiem, który dla bagatelki pozwoli bliźniemu swemu cierpieć! Ile kosztuje bilet do Chicago?

— Ach! drogi panie! To jeszcze nie wszystko! Przed 14 dniami otrzymałem żałobną wiadomość o śmierci mego ojca. Oszukany przez fałszywych przyjaciół, straciwszy w następstwie majątek — umarł w rozpaczy. Moja matka i jedyna siostra pozostały w najopłakańszych stosunkach finansowych. Oszczędzając i pracując przez trzy lata chciałem im z pomocą pospieszyć, gdy właśnie ostatnie nieszczęście — — —

Boleść nie pozwoliła mu mówić dalej. Zasłonił twarz rękoma i pozwolił łzom hojnie płynąć.

Mister Bungletree zdjął pince-nez, przetarł je troskliwie, włożył napowrót na nos i zwrócił się do współpasażerów.

— Moi panowie! — zaczął przemowę — oto mamy przed sobą wypadek wzbudzający bardzo silnie nasze współczucie. Ale ponieważ włóczy się po świecie tyle oszustów i wydrwigroszów — to też nieraz człowiek nie wie, czy działając w najlepszej wierze nie popiera mimowoli jakiego łajdactwa.

Wobec tego sądzę, gdy nasz młody przyjaciel nie weźmie mi za złe, że zadam mu kilka pytań, chcąc rozprószyć wszelkie wątpliwości co do niego.

I z bystrością, jakiej by się nikt nie spodziewał po dobrodusznym, jowialnym człowieczku — poddał młodzieńca surowemu badaniu. Wypytywał go o miejsca, gdzie się zatrzymywał i o osoby z którymi się stykał, a które przypadkowo — jak się pokazało — znał także i mister Bungletree. Wywody zdawały się być zupełnie zadawalniające tak dalece, że kilku z podróżnych miało mu nawet za złe, gdy zwrócił się do chłopaka z pytaniem, czy nie posiada przy sobie czasem jakichś papierów, mogących ustalić jego opowiadanie.

— Mam tu pismo polecające od ostatniego mojego szefa — rzekł chłopiec skromnie.

— Ha! co to jest?! — zawołał ze zdumieniem. rzuciwszy okiem na papier — Niech zginę! Wszak to mój dobry przyjaciel Roger Colley pisał!..

Posłuchajcie państwo! „Mr Ellridge Grackles był zatrudniony w moim domu przez dwa lata. Mogę go najsumienniej polecić, jako człowieka nader sumiennego, obowiązkowego i trzeźwego!“...

— To wystarcza mi zupełnie! — zawołał grubas, ściskając serdecznie dłoń chłopaka. — Cieszy

mnie niewymownie, że miałem zaszczyt poznania pana, kochany panie Grackles!

Następnie zwrócił się do współpasażerów:

— Biorę za tego młodzieńca zupełną odpowiedzialność i gwarancyę. Kogo mi mój przyjaciel poleca, ten jest godzien największego zaufania! W jaki sposób dopomożemy mister Gracklesowi? Proponuję składkę na rzecz jego i z mej strony ofiaruję 10 dolarów.

— I ja 10!.. I ja także!.. i ja!.. — zabrzmiały pojedyncze głosy i wkrótce miał mr. Grackles pełną garść pieniędzy.

— Czy ma mi kto zmieniać 50 dolarów? — zapytał mr. Bumgletre, który spostrzegł, że nie ma drobnych.

— Zdaje mi się, że będę mógł służyć — odrzekł jakiś poważny dżentelmen i zmienił żądany banknot, z którego 10 dolarów przeszło w posiadanie ubogiego młodzieńca.

Wdzięczność tego ostatniego nie miała granic.

— Moi państwo! — zawołał przez łzy. — Bądźcie przekonani, że ofiarności waszej i łaski nie zawiodę.

Będę się zawsze modlił za wami.

I przy tych słowach wybuchnął ponownym płaczem.

W tej chwili zaczął pociąg zwalniać biegu.

— Muszę już wysiadać moi przyjaciele! — rzekł Bumgleterre — niech was Bóg prowadzi! Panie Grackles pozdrów pan odemnie mego przyjaciela mr. Colley'a!

Przystąpił do drzwi wagonu, gdy w tej chwili zatrzymał go za ramię ów dżentelman, który mu zmienił pieniądze.

— Stój! ani kroku! — krzyknął.

— Panowie! uwolnijcie mnie od tego waryata! — zawołał błagalnym głosem mr. Bungleterre, który zbladł jak ściana.

Mieliśmy rzeczywiście dostateczne powody do powątpiewania w zdrowe zmysły tego indywiduum, gdyż w tej samej chwili dżentelmen ów wyciągnął błyszczący sztylet i utopił go w piersi dobroczyńcy biednego chłopaka.

Ale gdy zbrodniarz odjął swój sztylet od piersi jego, zauważyliśmy z niemałem podziwem, że ani kropli krwi nie wysączyło się z rany — tylko tusza jego zaczęła gwałtownie się zmiejszać, tak, iż ubranie jego zupełnie na nim się pofałdowało.

— Uspokójcie się moi panowie! — rzekł rzekomy morderca — przekłułem mu tylko jego gutaperkowy powietrzem nadęty garnitur. Jest to jeden z najniebezpieczniejszych złodziei w całej Unii. Fałszywa pięćdziesiątka, którą u mnie zmieniał — przyniesie mu co najmniej z jakie 5 lat kryminału, a i jego wspólnik, którego — udawał że nie zna — dostanie także swoją porcyjkę za wyłudzanie pieniędzy pod fałszywymi pozorami!

Podniósł klapę surduta i pokazał nam swą odznakę det^ktywa — jako legitymacyę.

Obydwaj oszuści zostali na stacyi aresztowani.

Uwagi i przestrogi pana Majtyki,

c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

Szanowne Kolegi!

Jest Wam dostatecznie wiadomem, że piękny i wzniosły zawód nasz — dostarcza nam niezwykle podniosłych wrażeń, budzi szlachetne uczucia i instynkta, które drzemią w każdej cesarsko-królewskiej piersi funkcyonaryusza sądowego.

Ale każdy medal, nawet jubileuszowy ma niestety! także i swoją z przeproszeniem obecnych tu dam — odwrotną swoją stronę.

Tak i nasz zawód przynosi nam nieraz przykrości i boleści ma się rozumieć okropne, na które jedynym łagodzącym środkiem jak senes lub rumbarberam (nasze panie wiedzą o tem!) — jest poczucie spełnienia swego obowiązku.

Posłuchajcie, co mnie się raz przydarzyło!..

W pewnej małej wiosce leżącej w okręgu mojej potęgi urzędowej żył stary lichwiarz, chłop, który krajanom swoim pożyczał pieniędzy na gruby procent, zabezpieczając pożyczkę na jakimś wartościowym zastawie. No, tak pożyczył 100 koron i jednej babie, która na zabezpieczenie dała mu jedyną swą krowę. Krowa atoli pozostała na razie w oborze swej właścicielki. Jak się stało tak się stało, dość, że babina na czas pieniędzy nie od-

dała, stary kutwa udał się na sądową drogę, (żeby na niej nogi połamał!) — a ja zostałem wydelegowany do zagrabienia bydlątka i przyprowadzenia go do wierzyciela.

Serce mi się tłukło z wzruszenia tak, że drżały na mojej bluzce urzędowej obydwa jubileuszowe medale. Ale służba nie drużba — więc pocieszyłem babę jak mogłem, a potem bydlę za rogi i do lichwiarza. W kilku dniach miałem przeprowadzić licytacyę. Ale byłem wściekły i na chłopa co licytował babę, i na babę, co na czas chłopu nie oddała pieniędzy i na krowę i na siebie, ogółem na cały świat!.. Z tej wściekłości poleciałem do miasta i przedstawiłem sprawę nieszczęśliwej kobiety kilku bogatym ludziom, którzy nie namyślając się długo złożyli między sobą potrzebną sumę — wystarczającą na zapłacenie lichwiarza i wydanie z jego rąk nieszczęśliwej krowy, będącej jedynym majątkiem kobiety.

Spieszę jak anioł dobrej wieści napowrót na wieś do baby, by dać jej pieniądze. Włażę do chałupy i pytam się dziecek: „A gdzież są matusia?!“ — „Matusia w stajni!“ — A cóż ona w stajni robi, kiedy krowy już nie macie?“ — zowołałem zdziwiony i idę na podwórko.

Zgłupiałem!.. Baba — widzę — doi krowę i to tąsamą, którą za dwa dni miałem licytować.

Otóż co się stało?..

Krowa przyprowadzona przezemnie do chłopa nie czuła się jakoś dobrze u nowego pana, a jej zły humor w tem się objawiał, że absolutnie nie chciała dać się wydoić. Biedaczka nie była przyzwyczajona, by ją męzkie ręce dotykały — zupełnie jak dobrze wychowana panna.

Stary poszedł więc po rozum do głowy, a nie chcąc brać do obsługi krowy dziewki — sam przebrał się w spódnicę i chustkę włożył na głowę, zupełnie jak baby na wsi i dalej do krowy.

Poczciwe stworzenie dało się wziąść na kawał i przypuściło porządnie mleka.

Ale stary nie wiedział jeszcze o jednej przywyczce krowy. Otóż zawsze po dojeniu zwykła otrzymywać od swej dawnej właścicielki, jakby w nagrodę — garstkę soczystej świeżej trawy.

Nie otrzymawszy swojej gratyfikacyi wpadła w pasyę!..

(Ja ją rozumię, bo i ja bardzo lubię gratyfikacye!)

Kopnęła lichwiarza, tak, że chłop przewrócił się jak długi rozlewając na siebie mleko i babrząc się jak nieboskie stworzenie w gnoju. A krowa tymczasem zerwała się od żłobu i pędzi prosto do baby, do swojej dawnej właścicielki. Za krową pędzi lichwiarz pomazany mlekiem i gnojem w chustce na głowie, z pod której wygląda siwa broda i w baskich kieckach plątających mu się dookoła nóg!.

To ci była frajda dla chłopaków we wsi! Dalej za nim z krzykiem i śmiechami, a jaki taki jeszcze cisnął za nim kamieniem.

Dla statecznego człowieka był to wstyd nie mały — zostać pośmiewiskiem całej wsi!

Więc chcąc koniec położyć złośliwym gadaniom i przycinkom ludzi — zostawił już krowę u baby, a z nią ugodził się, że ten dług, co mu winna to mu może zwracać po 5 koron miesięcznie.

Baba zyskała na tem podwójnie, bo te pieniądze, co jej z miasta przyniosłem mogła se wsadzić do skrzyni, a krowa w oborze została, no, a na 5 koron miesięcznie to nawet i taka chudzina zdobyć się jeszcze może.

Oto macie moje szonowne Kolegi dowód, że jest jeszcze Nemezis, czy tam Kwarantanna — nie pamiętam już, jak się to nazywa!

— Skończyłem!..

ZE ŚWIATA.

O czem śnią zbrodniarze?

Pewien uczony lekarz angielski, Dr Harry Weber czynny od szeregu lat jako doktor więzienny i sądowy — oddał się specyalnie studyowaniu, jakie sny miewają mordercy przed lub po swem zasądzeniu lub ostatniej nocy przed wykonaniem wyroku. W ten sposób chciał się przekonać, czy sny te nie mają czasem jakiegoś refleksu popełnionego czynu.

Badania jego wydały rzeczywiście zdumiewające a niespodziewane wyniki.

Z 30 zbrodniarzy miało 11 tesame zwidywa-

nia senne, chociaż różnili się między sobą zarówno trybem życia, jak pochodzeniem, wiekiem, a nawet płcią.

Ten jeden i ten sam sen, skonstatowany prawie bez zmian u wszystkich badanych 11 osobników rzuca dziwne, mistyczne prawie światło na skomplikowany mechanizm mózgu czy duszy człowieka.

Każdy z 11 zbrodniarzy opowiadał o swoich sennych wizyach, co następuje:

Widział się znowu dzieckiem w wieku od 6—10 lat i siedział na jakimś czarnym koniu, na którego go ojciec wysadził. Na tym koniu musiał jeździć wśród gradu jakichś czerwonych kul tak gorących, że kroplisty pot na niego występował, a koń galopował z taką wściekłością, aż jeździec obawiał się, że każdej chwili w przepaść z nim razem zleci.

Nagle koń zniknął, a on ujrzał się leżącym na olbrzymiej lodowej płaszczyźnie, nad którą unosiły się tesame czerwone kule, ale każda z nich przybrała twarz zamordowanej przez niego ofiary.

W tych okropnych duchowych męczarniach budził się nagle.

W przeciwieństwie do tych strasznych mar, śnili skazańcy w ostatnią noc same piękne sny, będące reminiscencyą najpiękniejszych dni dzieciństwa.

Wprost rozrzewniającą jest dedukcya Dr. Webera, który twierdzi, że ta nieszczęśliwa, stargana — w odlocie już będąca dusza potępieńca — w ostatnich swoich chwilach bytowania na ziemi, zwraca się jeszcze do tego, co miała w doczesnem życiu najwnioślejszego i najpiękniejszego.

O ileż straszniejsze było przebudzenie tych nieszczęśliwych!...

Szczególniejsza rachuba.

W pewnym amerykańsko-angielskim dzienniku Zachodu czytamy następującą auto-biografię prawdziwie skromnego człowieka: „Urodziłem się w New Yorku, przybyłem na Zachód, by urodzić się na nowo. Do 21 roku uchodziłem za syna mojej matki, dalszych 30 lat za męża mej żony, a ostatnie 16 lat za ojca mej córki. Mogę przeto powiedzieć, że zawsze byłem w rodzinie“.

ALLOTRIA.

Dwóch lat nie może czekać.

Dwóch wieśniaków od Kalwaryi przybywa do Krakowa i po zwiedzeniu stolicy Jagiełłów jeden z nich idzie do teatru. Drugi ma go oczekiwać w pewnej piwiarni. Nie trwało jednak długo, aliści zjawia się teatroman i siada przy stole swego przyjaciela. Ten go zapytuje:

— Cóż to? Już przedstawienie się skończyło?

— O, nie jeszcze! Dopiero pierwszy akt!

— I dlaczego wyszedłeś, czy sztuka ci się nie podobała?

— Bardzo! Ale widzisz, na afiszu jest napisane: „między aktem I-ym a II-im upływa lat dwa“ — no, a tak długo czekać nie mogę!...

Ładna przyjemność!

Obcy: Czego ten chłopiec drze się tak w niebogłosy?

Gospodarz: Zbiłem go właśnie!

Obcy: Czy to pańskie dziecko?

Gospodarz: Nie to syn mojego brata, dziecko bawi u mnie na wsi tak sobie — dla przyjemności!

Co oczy mówią?

Matka: Ależ Karolku! znowu biłeś się z chłopcami! Mówi mi o tem twoje oko!

Karolek: O! moja mamo! Gdybyś ty widziała oczy tamtych chłopców!

Dorobkiewicz.

— Nie wiem, co panu gospodarzowi domu zrobiłem, który mnie w tak bolesny sposób upokarza i lekceważy.

Gospodarz (zdziwiony): Co się stało?

— Wszystkim lokatorom w kamienicy podwyższyłeś pan czynsz z Nowym Rokiem, tylko mnie nie!... Czy pan sądzisz, że mnie nie stać na to?!

Pewny znak.

— Czy nie zauważyłeś pan, że wdziałeś na siebie obce palto?

— Nie zauważyłem! Leżało na mnie dobrze i pieniędzy w kieszeniach nie było. Byłem święcie przekonany że to moje własne, rodzone palto!

Duma obywatelska.

Pan: Jedźcie na ulicę studencką L. 51.

Pani (dodaje): Dom własny!

Szerlok Holmes

słynny ajent śledczy.

Tytuły nadzwyczaj zajmujących powieści:

Zbrodnia na Zamku Saavreda.
Śladami Houdiniego.
W królestwie Amora.
Grabież naszyjnika z pereł.
Córa Ewy.
Tajemnica Juiego Jitsu.
Zamek rozbójnikow pod Palermo.
Zbrodnia w Armii zbawienia.
Profesor Flaks, wielokrotny morderca.
Pościg w pustyni.

Cena każdej powieści w trójbarwnej okładce tylko

30 hal.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, trafikach i biurach dzien.

Na żądanie wysyła wprost

Księgarnia antykw. M. PROKESZA
w Krakowie, ul. Szewska L. 17.

---

10 POWIEŚCI z życia czerwonoskórych z ilustracyami za . . . **1 K 50 h**

1. Pierwszy pochód zemsty. 2. Walka o dolinę złota w górach Mglistych. 3. Sitting Bulla biały bizun. 4. Jeździec. 5. Tajemnica z nad rzeki Powder. 6. Demon pijaństwa. 7. Śmiertelna jazda naczelnego wodza. 8. Napad na fort Lincoln. 9. Niemyty blok-haus. 10. Księżniczka widm skalistych.

Wysyła **Księgarnia antykw. M. Prokesza**
W KRAKOWIE, UL. SZEWSKA L. 17.
Za zaliczką o 50 h drożej.

MAGAZYN GALANTERYJNY.



Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego i Przyborów do podróży

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, ULICA SŁAWKOWSKA L. 3. HOTEL SASKI.

S. SILBIGER

W KRAKOWIE, UL. GRODZKA L. 7.
poleca po niskich cenach

BIELIZNĘ MĘSKĄ,
PARASOLE, LASKI, RĘKAWICZKI
ORAZ
NAJWIĘKSZY WYBÓR KRAWATEK i KOŁNIERZYKÓW.

Słownik

polsko-francuski i francusko-polski

w dwóch tomach ozdobnie oprawnych za **3 korony**
(za zaliczką o 50 hal, drożej)
poleca

Księgarnia A. Fausta
w Krakowie.

NOWA SERYA LEKKICH POWIESCI.

OGRÓDEK AFRODYTY
TOM I.
PREVOST: DZIEWUSZKI
CENA 1 KORONA.
Nakładem Księgarni St. Kavki w Krakowie.
WSZĘDZIE DO NABYCIA.

Wydawca: Aleksander Ripper. Redaktor odpowiedzialny: Józef Czopek. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.